


Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 3 czerwca 1916. Nr. 23.

# W rocznicę wypędzenia Rosyan.

Uroczystość odsłonięcia rycerza w zbroi w Drohobyczu.

# W rocznicę wypędzenia Rosyan.

W rocznicę wyswobodzenia Drohobycza, dnia 14 maja, odbyła się wśród zgliszcz i gruzów tego miasta uroczystość odsłonięcia rycerza w zbroi. Postać rycerza, który ma zasilić fundusz wdów i sierot po poległych żołnierzach, odtworzył artystycznie porucznik dr. Emeryk Back. Rycerz trzyma w jednej ręce miecz, a w drugiej tarczę i wyraża siłę, spokój i pewność zwycięstwa. Podczas uroczystości Rynek zapełnił po brzegi wielotysięczny tłum z chorągwiami; barwne stroje włościan mieszają się




**Stary Sącz — Legionom polskim:** Tarcza Legionów w Starym Sączu.

z mundurami przedstawicieli wojskowości i władz, oraz z odświętną odzieżą ludności miejskiej. Na gruzach budynków okalających Rynek zgromadziły się niezliczone tłumy.




**W rocznicę wypędzenia Rosyan:** Rycerz w zbroi w Drohobyczu Przy figurze po lewej stronie twórca, porucznik dr. E Back (Fot. B. Liebermann).

U stóp rycerza podpułkownik Kazimierz Gużkowski, kierownik starostwa i prezes komitetu, urządzającego tę uroczystość, z uderzeniem godziny 11 rozpoczął przemówienie i odczytał telegram cesarza Franciszka Józefa, który zezwolił najłaskawiej, by z okazyi odsłonięcia pomnika wbić gwóźdź w imieniu Jego Cesarskiej Mości i przeznaczył z prywatnej szkatuły kwotę 500 koron na dobroczynny cel. — Następnie podpułkownik Gużkowski podziękował przybyłym licznie przedstawicielom armii, reprezentantom władz i gmin, oraz ludności miasta i powiatu. (Borysław reprezentowali komisarz dyrektor Chłapowski i inżynier Lewicki, a Tustanowice burmistrz Spitzmann). Mowca podniósł nadzwyczajną ofiarność ludności i usilną pracę komitetu, a w pierwszym rzędzie pp. kapitana Robleka, przemysłowca Jakóba Feuersteina, rotmistrza Szecsa, rektora Bazylianów księdza Burdiaka, dyrektora Chłapowskiego i porucznika dra Backa, którym zawdzięczać należy wynik niebywały, iż już w pierwszym dniu odsłonięcia pomnika zebrano około 400.000 koron na piękny cel funduszu wdów i sierot po poległych żołnierzach.

Zwracając się do ludu wiejskiego, mowca dziękował za liczne przybycie na tę uroczystość. — Przemówienie swe zakończył podpułkownik Gużkowski trzykrotnym okrzykiem na cześć monarchy.

Następnie przemówił w gorących słowach burmistrz Jarosz, dziękując zebranym za liczne przyby-

**Najmłodsi oficerowie Legionowi:** Grupa oficerów Legionu, którzy z końcem kwietnia b. r ukończyli szkołę chorążych na froncie

cie i przyczynienie się do uświetnienia uroczystości. Po południu odbył się w ogrodzie miejskim festyn ludowy, a wieczorem akademia muzyczna, na której gra na fortepianie p. Kretzowej-Mińskiej i śpiew p. Ireny Zadębowskiej na szczególne uznanie zasłużyły.

Tak się zakończyła w Drohobyczu uroczystość odsłonięcia „Rycerza w zbroi" i zarazem rocznica oswobodzenia.

## Stary Sącz — Legionom polskim.

*Stary Sącz,* 22 maja.

Do nielicznych miast Polski, którym przypadł zaszczyt tulić królewskie popioły, do miast tych, niejako filii Panteonu narodowego, należy Stary Sącz: w murach bowiem klasztoru P. P. Klaryssek spoczęły dwie koronowane głowy: żona Bolesława Wstydliwego, Kunegunda Arpadówna i Łokietkowa Jadwiga. Sędziwy Wawel od wieków tęsknym spogląda okiem w stronę Węgier granicy, radby przytulić córy swe do kamiennego łona, lecz one śnią snem wieczystym, którego nie przerwały pociski zawieruchy wojennej.

Tylko nuta pieśni, płynącej od Wawelu, zlewa się z nutą na falach Dunajca i Popradu, niosąc od grobów królewskich pieśń mazowieckiej stolicy.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Na rynku krakowskim wzniesiono Kolumnę Legionów. Na szczycie jej rozpostarł skrzydła Orzeł Biały. Biały Orzeł strzeże bramy stolicy. Strzeże drogi, którą ongiś wyruszały na boje chrobre hufce polskie, broniące wiary świętej i cywilizacyi zachodu.

Szlakiem tym zdąża przed wiekami do Polski stolicy przyszła pani Sandeczyzny, drogą tą przybywa z Węgier Jadwiga, drogą tą szły i wracały z pod Wiednia zwycięskie zastępy Sobieskiego; do Starego Sącza spieszyła również królowa Marysieńka, by powitać tu swego rycerskiego małżonka.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Na amarantowej tarczy Legionów, o srebrzystym brzegu, jaśnieje ptak biały. Pierś jego zdobi znak królewskiego miasta. W polu na poły czerwonem i niebieskiem zawisł Orzeł Biały. Strzeże on drogi prowadzącej przez most łukowy w krainę Arpadów. Fale Popradu, płynąc między arkadami mostu, błyszczą się w promieniach słońca.

Rozety, złożone z gwoździ honorowych o kształtach tarczy, wypełniają narożniki, napis Stary Sącz 19 LP 16 zdobią górną część tarczy, wykonanej według projektu prof. męskiego seminaryum F. Długoszewskiego, Krakowianina.

Illustracya druga przedstawia zespół nader miły. Rekonwalescenci legioniści, przybyli z Nowego Sącza na uroczystość odsłonięcia tarczy w dniu 14 maja, niosą w pochodzie tarczę, otoczoną wieńcem, którego wstęgi o barwach narodowych, zdobne złocistymi napisami: Legionom polskim — Miasto Stary Sącz, niosą w biel ubrane córki obywateli tutejszych, pp. A. Pawlikowska, J. Baziechówna, Z. Magierzanka i Z. Rzeszczyńska.

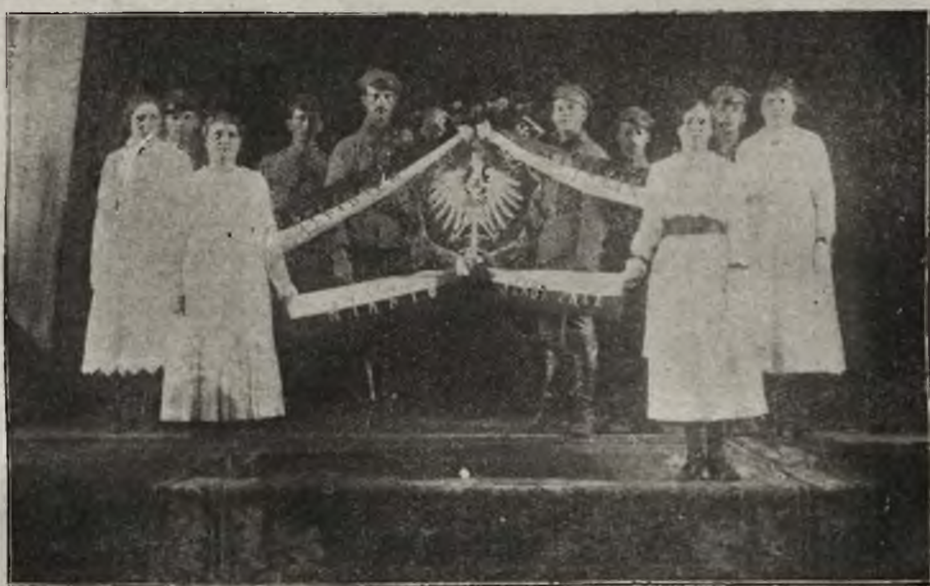
Na illustracyi trzeciej widzimy grupę osób, należących do ściślejszego Komitetu Narodowego w Starym Sączu. Rząd górny (stoją): burmistrz p. A. Pawlikowski, p. J. Majerówna kier. szkoły żeńskiej, prof. F. Długoszewski. Rząd dolny (siedzą): p. K. Woźniakowa, ks. Kan. Miklasiński, proboszcz miejscowy, p. M. Magiera, dyrektor c. k. seminaryum i prezes Komitetu, p. A. Pawlikowska, prezesowa Ligi Kobiet i ks. kanonik M. Przywara prof. seminaryum. *Def.*



**Stary Sącz — Legionom polskim:** Komitet Narodowy w Starym Sączu.



**Odwiedziny na Wawelu:** Hr. Agenor Gołuchowski, b austro-węgierski minister spraw zagranicznych, na Zamku królewskim w Krakowie Od lewej ku prawej stoją: Architekt K. Skawiński, Ag. hr. Gołuchowski, delegat Namiestnictwa Fedorowicz, sekretarz Bogdani.



**Stary Sącz — Legionom polskim** Fragment z pochodu podczas odsłonięcia tarczy Legionów w Starym Sączu

## Najmłodsi oficerowie Legionowi.

Z końcem kwietnia r. b. Legionowa szkoła chorążych na froncie zakończyła dwumiesięczny kurs nauki i puściła do okopów nowych czterdziestu pięciu oficerów. Niezwykła uczelnia, pracująca nad pogłębieniem wiedzy teoretycznej elewów pod okiem nieprzyjaciela, zamknęła na razie podwoje na czas nieograniczony.

Egzamin końcowy odbył się w obecności komendanta Legionów, pod czujnem kierownictwem założyciela i opiekuna szkoły, kapitana Włodzimierza Zagórskiego. Wszyscy słuchacze sprostali surowym wymogom egzaminu z wyszczególnieniem, lub postępem bardzo dobrym i otrzymali dobrze zasłużone stopnie Legionowych chorążych.

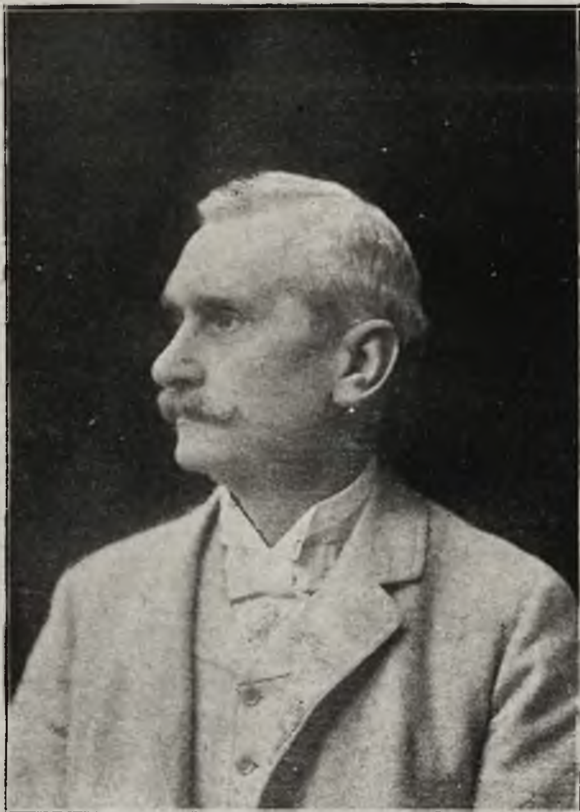
Lista najmłodszych oficerów w porządku starszeństwa przedstawia się jak następuje: Porwit M., Borkowski B., Ossowski J., Kułakowski M., Gella K., Głogowiecki M., Styrczula St., Mikiewicz Bol., Mrowec St., Targowski St., Łapicki J., Huzarski K., Machajski M., Ossostowicz M., Slizowski L., Rutkowski St., Stawiarski K., Englicht J., Jamrowicz J., Komaniecki K., Krajewski Alfred, Quirini Eug., Laliczyński Br., Stawarz Al., Tarada Wł., Mielnicki Fr., Sołtysik St., Szmoniewski P., Wójcik J., Bałuk J., Wilczyński St., Jasielski J., Lewicki T., Cebulski A., Mączyński L., Łańcucki Sew., Palichleb Wł., Warzybok Br., Królikowski Wł., Graff T.,



**Sztuka Legionom:** Otwarcie wystawy we Lwowie na rzecz wdów i sierot po Legionistach (X) Komendant miasta Lwowa generał Rimml, (XX) st radca Rybicki. (Fot. Kościesza-Jaworski)

Kara St., Litwinowicz W., Kiessler J., Barys P., Bogacz St.

Podczas pożegnalnego bankietu w dniu egzaminu chorążowie wygłosili szereg toastów na pomyślność polskich zamierzeń, dając świadectwo swej linii wytycznej i ideologii, która była im wpajana w polu i szkole.



**Zgon obywatela-patryoty:** S. p. Eustachy Jaksa Chronowski.

## Kongres niemieckich lekarzy w Warszawie.

Odbywający się co rok zjazd niemieckich lekarzy-internistów odbył się w tym roku nie, jak zwykle, w jednem z miast niemieckich, lecz w Warszawie. W kongresie wzięli udział liczni lekarze z Niemiec i Austro Węgier, przeważnie narodowości niemieckiej. Obrady kongresu odbywały się w pierwszych dniach maja w auli Politechniki warszawskiej.

## Odwiedziny na Wawelu.

Od chwili wybuchu wojny, która wysunęła na widownię polityczną Europy sprawę polską, wzrosło również zainteresowanie i Wawelem, gdzie tkwią, zaklęte w grobach królewskich, wspaniałe tradycye naszej przeszłości i nieprzedawnione prawa Polski. To sanctuarium narodu polskiego zwiedzał dwukrotnie cesarz niemiecki, król bawarski, liczni jenerałowie, ministrowie i mężowie stanu. Z tych odwiedzin zamieściliśmy już w swoim czasie fotografie.

W ostatnich czasach oglądał również szczegółowo i to dwukrotnie Wawel były austryacki minister spraw zagranicznych hr. Agenor Gołuchowski. Z powtórnego jego pobytu na zamku królewskim zamieszczamy fotografię w dzisiejszym numerze.

## Zgon obywatela-patryoty.

Śmierć zabrała nam znowu jednego z zasłużonych obywateli — a cios to tem dotkliwszy, że niespodziany. W Krakowie rozstał się z tym światem po krótkiej chorobie ś. p. Eustachy Jaksa Chronowski, znany obywatel-patryota, który miłość dla Ojczyzny zadokumentował nie tylko czynnym udziałem w powstaniu roku 1863, ale i całem swem ofiarnem życiem i zawsze gorącym zapałem, gdy chodziło o sprawę publiczną, lub pomoc moralną i materyalną.

Jako uczeń Szkoły Głównej warszawskiej poszedł do powstania 1863 roku, a po smutnym tegoż końcu, ranny, udał się na emigracyę do Francyi, gdzie obok studyów naukowych ciężką pracą zarabiał na gorzki chleb tułacza. Wojna francusko pruska w roku 1870 zastała go we Francyi. Tam wstąpił w szeregi armii i przeszedł kampanię w korpusie Bourbakiego w randze oficerskiej.

Przybywszy następnie do kraju, osiadł w Krakowie, jąwszy się działalności przemysłowej, która, prowadzona energicznie i umiejętnie, pozwoliła mu przed laty przystąpić do założenia Grand Hotelu w dawnym pałacu książąt Czartoryskich.

Długie lata pracy w tej dziedzinie dały mu pomyślne rezultaty materyalne, a także prowadzonemu doskonale zakładowi zjednały uznanie społeczeństwa.

W interesach swych jednak kierował się zawsze szerszymi poglądami i w tym celu nawiązywał stosunki z zagranicą, ściągając do naszego miasta obcych turystów. W miarę powodzenia rosła i ofiarność ś. p. Chronowskiego; zawsze miał otwartą dłoń dla potrzeb miasta i kraju, a jako członek licznych stowarzyszeń i komitetów dobroczynnych nie szczędził nigdy ofiar na ich cele.

Był prezesem tutejszego Przytuliska weteranów z roku 1863, a do szczodrobliwości jego odwoływano się zawsze i wszędzie. Nigdy nie odmówił apelowi i nie tylko sam starał się przyłożyć cegiełkę do dobra publicznego. ale pukał także do innych; jako przyjaciel ś. p. E. Jerzmanowskiego, nakłaniał go i umacniał w postanowieniu stworzenia bogatej fundacyi, którą też Jerzmanowski stworzył dla Akademii Umiejętności w Krakowie. On to skłonił ś. p. Kruzera do zapisania 30.000 rubli na budowę teatru krakowskiego.

Z myślą o dobru publicznem za życia jeszcze darował Muzeum narodowemu swe zbiory artystyczne, przedstawiające wartość kilkudziesięciu tysięcy, w skład których wchodzą dzieła Malczewskiego, Kossaka, Pruszkowskiego, Koniuszki, Zmurki, Wyczółkowskiego, Axentowicza, Stanisławskiego i wielu innych, a w testamencie dał wyraz gorącej miłości swego narodu, przekazujac znaczny, własną pracą stworzony majątek na cele publiczne.

Cześć jego pamięci!

## Sztuka Legionom.

Obecne krwawe zapasy wojenne, aczkolwiek odmienne od dawnych, bardziej malowniczych bitew, ale zato pełne majestatu i grozy — natchnęły już wielu artystów do potężnych, głębokich dzieł sztuki. Zwłaszcza bohaterski poryw naszych Legionów stał się źródłem pokaźnego już dorobku artystycznej twórczości.

Legiony złożyły dań polskiej sztuce, ale i sztuka nie pozostaje im dłużną. Wyrazem tego są wystawy sztuki, urządzane na cele Legionów. Za przykładem Krakowa poszedł i Lwów, gdzie w tych dniach otwarto wystawę dzieł sztuki w Parku Kilińskiego.

Illustracye nasze przedstawiają uroczystość otwarcia wystawy i jedno z dzieł, alegoryczną rzeźbę p. Kuczyńskiego.



**W rocznicę wypędzenia Rosyan:** Goście obecni na uroczystości odsłonięcia rycerza w zbroi w Drohobyczu. (X) Kierownik starostwa podpułkownik Kazimierz Gutkowski, (XX) burmistrz Rajmund Jarosz. (Fot. B. Liebermann).

ADAM WIARYGA-MINIESKI

# Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

8

Twarz Żarnickiego zmieniła się. Naprzód krew mu uderzyła falą do głowy, a potem zzieleniał. Rysy jego wykrzywił spazm zazdrości. Zdawało to się, że się rzuci na dziewczynę. Był w tej chwili bardzo brzydki, spoglądał na Józię takim wzrokiem, że dziewczyna zbladła.

— Ej! Józiu, Józiu! — wyrzekł po chwili stłumionym głosem, opanowawszy się.

Józia podniosła ku niemu oczy.

— Ależ ja żartowałam tylko — wyrzekła jakimś bardzo potulnym, pieszczotliwym głosem — I czegóż to robić zaraz takie straszne oczy... To już ja powiem, od kogo dostałam te fijołki. To Gliniewicz dał mi ten bukiecik na pożegnanie, bo on idzie do wojska...

— Ach! Gliniewicz, ten smarkacz! — machnął Żarnicki lekceważąco ręką — A tybyś może wolała, żebym ja pojechał, zamiast niego?

— Jak pan może mówić coś podobnego — szepnęła Józia — Gliniewicz bardzo dobry chłopiec, ale to zupełnie co innego...

— Naprawdę Józiu, nie okłamujesz mnie?

— Nigdy! A pan nie gniewa się już na mnie o to, com powiedziała? — dodała spoglądając mu filuternie w oczy.

— Cóż to znowu za pan?

— Więc... ty nie gniewasz się na mnie? — powtórzyła ciszej Józia.

— Nie!

Ujął znowu ramię dziewczyny i przyspieszyli kroku. Anielka spoglądała za nimi z przyjaznym, pobłażliwym uśmiechem. Zachowanie Żarnickiego wydawało się jej nieco dziwnem i zbyt gwałtownem, ale usprawiedliwiała je miłością i wypływającym z niej porywem zazdrości.

Koło Anielki coś zaszumiało, zaszczebiotało i rozszedł się silny, ostry zapach perfum „apple bloom".

— Dzień dobry pani!

— Dzień dobry! — odpowiedziała Anielka, witając z uprzejmym uśmiechem pannę Zerwanównę.

Zerwanówna wzrokiem rozognionym złością ścigała niknące w oddali sylwetki Józi i Żarnickiego.

— Widziała pani? — syknęła z gniewem, wskazując ręką przed siebie.

— Co? — zapytała spokojnie Anielka.

— No naturalnie Żarnickiego z tą bezczelną, zepsutą smarkulą Józią!

Anielka przemocą stłumiła uśmiech na ustach.

— Owszem, Zarnickiego z Józią widziałam, ale nie mogę podzielić pani zdania, żeby ona była bezczelna, czy zepsuta. To bardzo miłe dziewczątko.

— Tak pani sądzi? Istotnie dziwię się...

Zerwanówna przekroczyła już trzydziestkę i była w tym niebezpiecznym dla starzejących się panien wieku, kiedy młodość, przegryzana wewnętrznem niezadowoleniem, pretensyami do świata i ludzi i bezustanną, gorączkową gonitwą za czemś, co się stać miało, a nie stało — więdnąć poczyna raptownie.

Była nauczycielką ludową, ale sama przyznawała się głośno do tego, że zawodu swego nienawidzi. Przełożona władza szkolna znała ją z tego, że ciągle starała się o zmianę posady, jakby z przenoszeniem się z miejsca na miejsce miała nastąpić także jakaś szczęśliwsza zmiana w jej życiu.

Lwią część skromnej płacy nauczycielskiej obracała na stroje, perfumy i rozmaite drobiazgi tualetowe, wskutek czego musiała się nieraz mocno ograniczać w innych wydatkach codziennych, co ją przyprawiało o napady najczarniejszej melancholii.

Tyranizowała matkę, czerpiąc bezceremonialnie z jej małej pensyjki wdowiej.

Matka, cicha, potulna kobiecina, spełniała przy swojej ubóstwianej Stefci, rolę służącej, a zarazem kozła ofiarnego. Musiała znosić wszystkie kaprysy i humory wymagającej i coraz bardziej gorzkniejącej córki.

Zerwanówna miała niegdyś kilku konkurentów z pośród swoich kolegów nauczycieli, ale wówczas odrzuciła pogardliwie te starania, jako nie odpowiadające jej wymaganiom i widokom na przyszłość.

Lata mijały, a kiedy wymarzony królewicz z bajki w postaci jakiegoś lekarza, inżyniera, urzędnika wysokiej rangi lub niesłychanie bogatego kapitalisty, czy kamienicznika nie zjawił się — kiedy w obrachunku życiowym można było już zanotować kilka przykrych zawodów, panna Stefcia obniżyła nieco swoje wymagania.

Okazało się jednak, że dawni konkurenci pożenili się, a nowych jakoś nie było.

Swoje niepowodzenie życiowe przypisywała Zerwanówna fatalności losu, skazującej ją na mieszkanie na wsi, gdzie była odcięta od szerokiego świata i mężczyzn, którzy umieliby ją należycie ocenić.

Wojna nastręczyła jej sposobność do wyrwania się z koła obowiązkowej, znienawidzonej pracy i rzucenia się w nowe upragnione środowisko.

Kiedy przybyła do Pragi, poczęła się rozglądać w polskich kołach towarzyskich. Skwapliwie zawierała nowe znajomości, szukając zręcznie towarzystwa mężczyzn.

Spostrzegła wkrótce, że jej plany i nadzieje nie są łatwe do urzeczywistnienia. W czasie, kiedy ona starzała się i więdła, wyrósł legion młodych i najmłodszych dziewcząt, wśród których nie brakło nawet jej własnych uczenic.

Z zaciętnością ścigała swoje domniemane rywalki zjadliwemi docinkami, szpiegowała ich słowa, spojrzenia, czyny, rozsiewała złośliwe plotki — to też niezadługo młodsze i starsze panny jęły stronić od Zerwanówny, obawiając się jej ostrego języka.

Zerwanówna poznała się „pod Łabędziem" z Żarnickim. Młodzieniec okazywał jej jakiś czas pewne zainteresowanie, „bardzo umiarkowane" zresztą i dalekie od gorętszych uczuć i matrymonialnych zamiarów, o których marzyła panna Stefcia.

Ciemne magnetyzujące oczy Zarnickiego zawróciły Zerwanównie w głowie.

Wiedziała przytem, że młodzieniec ma zamożnego ojca, a i przygotowuje się do ostatniego rigorosum prawniczego.

Uważała go więc za zupełnie odpowiedni materyał na męża.

Różnicy wieku nie brała w rachubę. Aby módz się częściej widywać z Zarnickim i przedstawić mu się w korzystniejszem świetle, zaczęła pracować w „taniej kuchni", ale obowiązki swoje spełniała niedbale, na dyżury spóźniała się zawsze i dawała pani Winnickiej, gospodyni „kuchui", dziesiątki powodów do niezadowolenia.

Rachuby Zerwanówny okazały się zawodne.

Kiedy na horyzoncie pojawiła się Józia, urocza, jak marzenie o wiośnie i świeża, jak rozkwitający pąk róży, Zarnicki zajął się nią.

Zerwanówna znienawidziła odtąd Józię, nie tylko jako szczęśliwą rywalkę. W nienawiści tej tkwił inny jeszcze głębszy moment psychologiczny.

Zerwanównę bolała, paliła, jak zarzewiem, świadomość tego, że zwyciężyła ją dziewczyna, która przy zwykłym obrachunku lat mogłaby być jej córką.

— Toż to niesłychana rzecz — mówiła dalej Zerwanówna do Anielki — żeby taka dziewczyna przebywała tutaj bez opieki starszej osoby. Jak ten ojciec mógł na to zezwolić?

— I ja jestem tego zdania, że lepiej byłoby, gdyby panna Józia miała jakąś poważną opiekę, bo to uniemożliwiałoby wszelkie podejrzenia i złośliwe plotki, do których ludzie są tak bardzo skłonni... W każdym razie nie jej to wina, że się stosunki tak, a nie inaczej złożyły. Toż to wojna, która powoduje anormalne zupełnie sytuacye. Ileż to młodszych dzieci, chłopców i dziewcząt, błąka się bez żadnej opieki, bez stałego nawet dachu nad głową — westchnęła Anielka.

— Ojciec jej powinien się dowiedzieć — zadecydowała energicznie Zerwanówna — o tem, co wyrabia ta zepsuta smarkata, która powinna siedzieć nad gramatyką, albo robić „ząbki" szydełkiem. Powiadam pani, że z tej dziewczyny to nieuk skończony! Przypadkowo wpadł mi przed kilku dniami jej list, który pisała do jakiejś koleżanki. I cóż pani powie! W trzech zdaniach znalazłem sześć błędów ortograficznych!

Na twarzy Anielki ukazał się wyraz niesmaku. Wzmianka o czytaniu pokryjomu listu, pisanego przez Józię, oburzyła ją.

Dla szlachetnej, prostolinijnie uczciwej natury Anielki przeczytanie podstępne cudzego listu wydawało się rzeczą również zdrożną, jak sięgnięcie ręką do cudzej portmonetki.

Wogóle cała ta rozmowa z Zerwanówną, z której każdego słowa wysuwała zatrute żądło nizka złość i zawiść, gniewała Anielkę.

Miała już na ustach jakieś porywcze słowa. Nie wyrzekła ich jednak, bo zwyciężyły w niej względy towarzyskiej grzeczności.

Z uczuciem głębokiej ulgi spostrzegła Anielka zbliżającego się ku nim Montwiłła.

Momentalnie zmieniła się także twarz Zerwanówny. Na ustach jej pojawił się najsłodszy uśmiech i poczęła się witać z młodzieńcem przy użyciu całego arsenału powłóczystych spojrzeń i wabnych minek.

Trafiła jednakowoż na grunt zupełnie niepodatny. Montwiłł odczuwał specyalną antypatyę do Zerwanówny, tak, że z trudnością mógł maskować pozorami grzeczności swoją niechęć.

Zwykle unikał starannie towarzystw, w których mógł spotykać Zerwanównę. Jeżeli tym razem podszedł, to jedynie dla tego, że chęć porozmawiania z Anielką była czynnikiem zbyt silnym.

Zerwanówna instynktem kobiecym wyczuła wkrótce to niechętne usposobienie i nagle przestała szczebiotać i uśmiechać się. W niewielkich, żywych, czarnych jej oczach zapaliły się jakieś złe płomyki, a wargi drgnęły ironicznym uśmiechem.

Anielka i Montwiłł odetchnęli, kiedy Zerwanówna pożegnała się i odeszła.

— Wstrętna baba! — zawołał porywczo Montwiłł.

— Ależ, panie Stanisławie, co za dosadne wyrażenie!

— Ach! przepraszam panią za wyrażenie, zapomniałem się, ale treści mojego orzeczenia nie cofam. Panna Zerwanówna obdarzona jest szczególną właściwością rozstrajania moich zwykle dość silnych nerwów. To kobieta głupia, zła i złośliwa. Wiecznie obmawia kogoś, zawsze kogoś szpieguje, zawsze chciałaby komuś zaszkodzić, lub zrobić przykrość, a już przedstawicielek płci swojej, zwłaszcza młodych i ładnych, nienawidzi po prostu.

Anielka nie odpowiedziała nic. Myślała to samo, ale nie chciała zdania swego głośno wypowiedzieć, instynktownie cofając się przed ujemnem osądzaniem kobiety wobec mężczyzny.

— No, możemy zmienić temat — zaczął znowu po chwili Montwiłł. — Możemy mówić o czemś więcej interesującem, aniżeli panna Zerwanówna.

— Naturalnie — potwierdziła żywo Anielka — a ja, jako egoistka, zwrócę się naprzód do tematu, który mnie najbardziej interesuje! Czy poczynił pan jakie kroki w celu odszukania Kazi... mojego narzeczonego...

Twarz Montwiłła ściągnęła się jakimś skurczem bolesnym.

Trwało to chwilę zaledwie. Opanował się i równym, spokojnym głosem odpowiedział:

— Zrobiłem, co było można. Dałem odpowiednie ogłoszenia do dzienników krakowskich, oraz do wszystkich pism polskich na wychodźtwie. Prócz tego posłałem to samo ogłoszenie do gazet wiedeńskich, no i do kilku pism czeskich.

— I żadna wiadomość nie nadeszła dotychczas?!

— Zawiadomiłbym panią przecież natychmiast. Trzeba czekać cierpliwie. Pisałem również do biura wywiadowczego „Czerwonego Krzyża", ale tam nie mają żadnej wiadomości o panu Walczaku.

— Więc to znaczy, że on nie ranny?!

— Hm... niby tak, albo też może jeszcze do „Czerwonego Krzyża" nie nadeszło zawiadomienie. Jedna okoliczność komplikowała przytem sprawę, nie mogłem mianowicie podać dokładnego adresu w polu, bo pani go sama nie zna...

— Tak się nieszczęśliwie złożyło... Mówiłam panu przecież, że ciotka zabroniła mi korespondować... Musiałam więc używać wybiegów. Listy przychodziły na adres nauczycielki w naszej wsi... A wtedy, kiedy wybuchła wojna, ta nauczycielka wyjechała na wakacye... A potem to i my wyjechałyśmy... Ach! gdyby nie to, to wiedziałabym przecież, gdzie on się znajduje i czy zdrów, nie dręczyłabym się tak tą ustawiczną trwogą i niepewnością... Panie Stanisławie, pan jest prawdziwym moim przyjacielem! Ja doprawdy nie wiem, jak ja mam panu dziękować.

— To dla mnie największa przyjemność być pani pomocnym — odpowiedział cichym głosem Montwiłł.

— — — — — — — — — — — —

Pani Krystyna przywitała siostrzenicę z listem w ręku.

— Zgadnij, kto pisał?

— Nie zgadnę, ciociu — odparła Anielka, zdejmując kapelusz — lepiej niech ciocia powie.

— Owczarkiewiczowa!

Owczarkiewiczowa była to gospodyni we dworze w Zalesinkach, która wyjechała równocześnie z dziedziczką, ale skierowała się do Wiednia, gdzie miała krewnych.

— Owczarkiewiczowa! — zawołała Anielka — Cóż u niej słychać? Dzieciaki zdrowe?

— Karolka i Jaś zdrowi, chodzą do szkół, ale najstarszy, Antoś, został ranny i leży, wyobraź sobie, w szpitalu tutaj w Pradze. Owczarkiewiczowa prosi, żeby go odwiedzić.

— Naturalnie, że ciocia pójdzie?

— Cóż za pytanie?! Idę zaraz dzisiaj po obiedzie. Przecież Owczarkiewiczowa, to jakby należała do rodziny, a Antoś, to nasz wychowaniec. Wuj łożył na jego wykształcenie. Czy on aby nie ciężko

ranny, biedak? Taki miły roztropny chłopiec... Ty oczywiście pojedziesz ze mną do szpitala?

— Chciałabym bardzo odwiedzić towarzysza moich zabaw dziecinnych, ale nie wiem, czy dzisiaj będę mogła... O której godzinie wolno odwiedzać rannych żołnierzy?

— Od drugiej do czwartej.

— Niestety! będę się musiała wyrzec na dzisiaj odwiedzin Antosia... Mam zajęcie w ochronie o tej godzinie.

— Ależ ktokolwiek może cię zastąpić.

— Nie zdążę już zawiadomić.

— Anielko, jesteś nudna ze swoimi dyżurami i swoją ochronką.

Anielka rzuciła się ciotce na szyję.

— A ty jesteś złota, ciociu, tylko nie gniewaj się na mnie. Jutro uwolnię się i pospieszę do Antosia.

— No, ale przynajmniej pójdziesz ze mną po obiedzie do sklepów, żeby kupić coś dla Antosia. Nie zjawię się tam przecież z próżnemi rękami... Tylko nie wiem, coby mu największą przyjemność sprawić mogło?

— Naturalnie, że pójdę... Wybierzemy razem, ciociu.

Po obiedzie udały się po sprawunki. Pani Krystyna okazywała chęć zakupywania tak wielkich ilości przeróżnych ciastek, cukierków, owoców, papierosów, kwiatów, że Anielka musiała mitygować ją żartobliwie.

— Ależ wypadnie ciocia z dorożki przy tylu sprawunkach, bo miejsca nie będzie...

## ROZDZIAŁ IX.

Pani Krystyna wchodziła do jasnej, słonecznej sali z sercem bijącem ciekawością i trwogą.

W życiu swojem nie była jeszcze w szpitalu i instynktownie obawiała się wrażenia, jakie może na niej uczynić. Wyobrażała sobie, że zobaczy krew, straszne rozwarte rany, posłyszy jęki cierpienia i chrapliwe rzenia konających.

Tymczasdm obraz, który przedstawił się jej oczom, sprawił jej niespodziankę.

Pani Krystyna odetchnęła swobodniej zobaczywszy białą, jasnemi blaskami popołudniowego słońca oświetloną salę i szeregi czyściutko zasłanych łóżek, na których spokojnie leżeli chorzy. Jeden z nich gwizdał jakąś wesołą piosenkę.

Wchodzącą owionął słodko-mdły zapach jodoformu. Zatrzymała się na chwilę, ale zaraz opanowała się i zwróciła się ku pielęgniarce, która w śnieżno białym czepeczku i takimż płaszczu, krzątała się pomiędzy łóżkami, poprawiając poduszki, mierząc gorączkę i zagadując co chwila wesoło i przyjaźnie.

Na widok strojnej damy obładowanej większemi i mniejszemi paczkami, kilka par oczu zwróciło się ku niej ciekawie.

Jeden z cięższej rannych żołnierzy dźwignął z wysiłkiem głowę z poduszki, popatrzył, machnął ręką i szepnął do najbliższego sąsiada:

— E! To pewnie nie do nas!

Pielęgniarka z uprzejmym uśmiechem pospieszyła ku pani Krystynie.

— Czy pani szuka kogoś, czy też pani życzy sobie odwiedzić wszystkich naszych pacyentów? — zapytała po polsku.

Pani Krystyna ucieszyła się.

— To pani Polka?

— Tak jest i w tej sali mam samych Polaków. Jesteśmy tutaj wyłącznie sami między sobą. Pani pozwoli, że się przedstawię: Jestem Zofia Rasińska, słuchaczka medycyny.

Słysząc ostatnie słowa: „słuchaczka medycyny“ pani Krystyna drgnęła i ciekawie wpatrzyła się w pielęgniarkę.

W kołach towarzyskich, w których się obracała, mało miała sposobności do spotykania słuchaczek uniwersytetu, a pojęcia swoje o studentkach czerpała ze starych powieści, przedstawiających przysłowiową „błękitną pończochę“ albo jako starą, brzydką, zżółkłą, nudną w okularach na nosie mumię, zasuszoną wśród książek i traktatów naukowych, lub też brudną rozczochraną zaniedbaną kobietę, która nie wyjmuje z ust papierosa, pije wódkę, rozprawia „o wolnej miłości“ i „gwiżdże na wszystko“.

Panna Zofia Rasińska nie wyglądała zaś ani na jedno, ani drugie. Była to poprostu miła, ładna, świeża dziewczyna o mile uśmiechniętej twarzy i rozumnem spojrzeniu wielkich, jasnych oczu.

Na pani Krystynie zrobiła wrażenie bardzo sympatyczne.

— Taka młoda, miła i zdaje się skromna i ona kraje trupy! To okropne! Ciekawam, co ją mogło popchnąć do tego?! — przemknęło jej przez myśl.

Pani Krystyna wyobrażała sobie zawsze, że kobietę do wyższych studyów mogą popchnąć tylko jakieś szczególniejsze przyczyny i podejrzywała, że przeszłość każdej studentki kryje w sobie jakąś „tajemnicę“.

— Chciałabym widzieć się z kapralem Antonim Owczarkiewiczem! Poinformowano mnie, że on w tej sali leży. Czy dobrze trafiłam? — zapytała pani Krystyna.

Zanim pani Rasińska zdołała odpowiedzieć, już na jednem z łóżek usiadł młody, blady żołnierz i zawołał radośnie:

— Pani Wolska, jak mamę kocham, pani Wolska! Paniusiu droga!

— Antosiu! Jak się masz chłopcze!

Antoś wyciągnął na powitanie rękę.

Pani Krystyna ujęła ją w serdecznym uścisku, ale w tejże samej chwili pobladła silnie i zmartwiała. Spostrzegła, że lewy rękaw koszuli był pusty.

Antoś uśmiechnął się melancholijnie trochę:

— Pani przestraszyła się, jak widzę? Tak, tak. Moskale nieostrożnie strzelają i zrobili ze mnie „dziada bez ręki“. Ale to nic. I z jedną ręką przepcham się przez życie, nauczę się nią lepiej i mocniej machać. — żartował — Dobrze przynajmniej, że to lewa, nie prawa, bo musiałbym się na nowo uczyć jeść i pisać...

Pani Krystynie łzy cisnęły się do oczu. Opanowała się jednak, widząc, że Antoś nie rozpacza i mówi spokojnie, nawet wesoło.

— Naturalnie, mój chłopcze, że dasz sobie radę. O przyszłość nie potrzebujesz się troszczyć... Zalesinki stoją dla ciebie otworem... A czy mama wie?...

— Nie jeszcze... Mama wzięłaby to ze strony bardzo tragicznej... Na takie wiadomości jest zawsze dość czosu, a w liście zawsze wszystko gorzej wygląda... Jak wrócę trochę do sił, dostanę urlop i pojadę do mamy do Wiednia... Jak mama zobaczy, żem zdrów i wesoły, jak dawniej, to prędzej przeboleje utratę jednej ręki..

— A czy ci dobrze tutaj, Antosiu?...

— W tej sali bardzo dobrze... Jesteśmy tutaj sami swoi, sami Polacy... W innych salach, gdzie nasi ludzie porozrzucani są pomiędzy obcymi, smutniej im zapewne... Mamy zresztą najlepszą opiekunkę, jaką sobie wymarzyć można; panna Zosia, to nasz Anioł Stróż, nasza pociecha, prawda koledzy? — dodał głośniej zwracając się do innych.

— Prawda! prawda! — odpowiedzieli chórem.

— Tylko ten Anioł gdera czasami zanadto — zawołał młodziutki chłopiec z czarną czupryną, podskakując na łóżku.

— Na pana Jurka stanowczo za mało — zaśmiała się panna Zofia — Wiele to razy mówiłam: doktór kazał leżeć spokojnie.

Pani Krystyna złożyła na kołdrze Antosia olbrzymią wiązankę róż i mimozy, którą młody żołnierz przyjął okrzykiem radości i zachwytu.

Silny zapach kwiatów rozszedł się w rozgrzanem powietrzu sali.

Pani Krystyna usiadła na podanem jej krześle i poczęła się rozglądać po sali.

Nieznane jej dotyczas uczucia rozszerzyły jej serce, nowe myśli budziły się w niej.

Po raz pierwszy może w życiu uczuła się głęboko i prawdziwie Polką, zjednoczoną sercem z tymi współbraćmi, którzy na wszystkich frontach szli, walczyli, cierpieli i umierali — po raz pierwszy błysnęła jej myśl, że aby pomódz cierpieniu ludzkiemu, niedość jest rzucić pieniądz-jałmużnę, ale trzeba mieć w sercu wielkie umiłowanie...

O tem wszystkiem nie myślała nigdy dotychczas i zawstydziła się tego teraz sama przed sobą...

Pani Krystyna ucieszyła się w duchu, że nakupiła tyle drobnostek dla Antosia. Będzie więc można obdarzyć i innych żołnierzy w tej sali...

Zabrała się do rozwiązywania swoich paczek i paczuszek... Sporą część pozostawiła Antosiowi, a resztę podarunków postanowiła rozdzielić pomiędzy jego kolegów.

Antoś dziękował wzruszony jej troskliwością.

— Jaka pani dobra! Tak pamiętała o mnie... Co za papierosy!... Pycha! egipskie... I wino!... fiu, fiu! Prawdziwy tokaj!...

Pani Krystyna zwróciła się teraz do najbliższego sąsiada Antosia, owego młodziutkiego, czarniawego chłopca i poprosiła go, aby zechciał przyjąć od niej paczkę ciastek i kilkanaście wielkich złocistych pomarańcz.

Z czułością macierzyńską patrzyła na drobną, dziecinną twarz chłopca, w której świeciły czarne, zuchowato spoglądające oczy.

— Ileż pan ma lat?

— Siedemnaście.

— Jakto i już służy pan w wojsku?!

— Jestem legionista-ochotnik — odparł z dumą.

— I matka pozwoliła panu tak młodemu wstąpić do Legionów? — zapytała ze zdziwieniem pani Krystyna.

— Nie chciała pozwolić, ale czy to ja dziecko?! Dałem „nogę“, przepraszam panią ja tak z przyzwyczajenia, uciekłem po prostu z domu. Po wakacyach miałem iść do siódmej klasy...

— Ależ rodzice musieli się zmartwić bardzo...

— No, trudno, teraz już pogodzili się z losem... Cóż miałem robić, kiedy mnie aż rwało na wojenkę z Moskalami...

— W jakiej bitwie został pan ranny? — pytała dalej pani Krystyna.

— Hm... ranny to ja nie byłem... — odparł z pewnem zawstydzeniem chłopiec. — Ja się rozchorowałem na zapalenie płuc... A może to tylko tak doktorzy wmówili we mnie tę chorobę...

— Uprzedzam panią — wtrąciła z uśmiechem pielęgniarka — że pan Jurek to najnieznośniejszy z naszych pacyentów... Wiecznie się kręci, nie dba na zakazy, mam z nim więcej kłopotu, jak ze wszystkimi innymi chorymi.

— Bo wmawiają we mnie, żem chory, żem słaby, a ja czuję, że jestem już zdrów zupełnie i mógłbym choć dzisiaj wracać do „kadry“.

Pani Krystyna przeszła do następnego żołnierza, wręczając mu swoje podarunki, między innymi zaś pudełko „egipskich“ papierosów.

— A mnie pani ani jednego papierosika nie dała! — zawołał tonem żałosnej, dziecinnej skargi Jurek.

Pani Krystyna obróciła się ze zdziwieniem ku Legioniście.

— Ależ, ja myślałam, że pan nie pali jeszcze... Pan taki młody... zresztą po chorobie płucnej...

— Ależ, naturalnie! — potwierdziła żywo panna Zofia — Panu Jurkowi po zapaleniu płuc palić nie wolno, ale on zawsze usiłuje robić to, czego mu nie wolno!

— Panna Zosia mnie tyranizuje! — skarżył się dalej Jurek.

— A koci ogon do buzi nie łaska? — zapytał głos z pod ściany.

Zaczepiony Jurek obrócił żywo głowę w tę stronę.

— Kto to mówi? Naturalnie saper! Tak jakby saper miał także co do gadania! Co to niby za wojsko: saperzy! Widział ich kto kiedy przy ataku?! Ale przy odbieraniu „porcyi“ to zawsze są z menażkami!

— Nie dyskutuję z dzieciakami, które nie mają pojęcia o sztuce wojennej i które powinny jeszcze się bawić drewnianym konikiem i blaszaną szabelką! — zareplikował saper z pod ściany.

Jurek bronił się energicznie, a żołnierze śmiali się, choć byli przyzwyczajeni do ustawicznych sprzeczek między Jurkiem a saperem Poniewiczem na temat: czy saperzy są wojskiem, czy nie?

Pani Krystyna przechodziła od łóżka do łóżka, prosząc serdecznie i prawie nieśmiało o przyjęcie swoich darów.

Z każdym z żołnierzy wdawała się w pogawędkę i dowiadywała się rzeczy, które nią głęboko wstrząsały.

Jeden z żołnierzy w pół roku po ślubie musiał opuścić żonę, spiesząc w szeregi i nie miał od niej żadnej wiadomości od kilku miesięcy, bo rodzinne jego strony nawiedziła inwazya rosyjska — inny pozostawił kilkoro drobnych dzieci w domu — inny jeszcze, był jedynakiem, jedyną podporą starej matki.

Pani Krystyna czuła, że ci ludzie są jej w tej chwili tak bliscy, tak drodzy, jakgdyby byli wszyscy jej rodzonymi braćmi...

Powstało w niej ogromne pragnienie, aby im dopomódz i osłodzić ich dolę, o ile tylko będzie można...

Pytała, czego im brakuje, jakie mają życzenia. Dowiedziała się, że przedewszystkiem łakną polskich książek i pism, które dochodzą do ich rąk w niewielkiej ilości.

— Panna Zosia kupuje nam codziennie jakiś polski dziennik, to go sobie poprostu wydzieramy z rąk... Czasem te panie, które nas odwiedzają, przynoszą jakie książki i gazety, ale rzadko i niewiele — opowiadał któryś.

— Jedna pani, co tu najwięcej przychodzi — wtrącił młody żołnierz — to przynosi zawsze tylko pobożne rozmyślania, katechizmy, książki do modlitwy, a my tego przecież uczyliśmy się w szkole i każdy z nas ma książeczkę do modlenia... Mybyśmy chętniej przeczytali coś wesołego... — skarżył się inny młody żołnierz.

— Albo o miłości... — wtrącił Jurek.

Rozległ się śmiech.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Zarząd austro-węgierski w Królestwie Polskiem.

Ważną rolę w administrowaniu na okupowanych przez wojska austro-węgierskie terenach Królestwa Polskiego spełniają komendy obwodowe, które dzia-



**Zarząd austro-węgierski w Królestwie Polskiem:** Komendant obwodowy w Piotrkowie, podpułkownik Jul. Schneider.

łalnością swą obejmują wszystkie, tak skomplikowane dziś wojną dziedziny życia. Jedna z pierwszych komend obw. w Król. Pol. powstała w Piotrkowie.

Utworzono ją po zajęciu Piotrkowa przez ówczesną armię II-gą pod dowództwem generała Böhm-Ermolliego, który przez kilka tygodni tam kwaterował, poczem armia odeszła, zostawiając VI. grupę armii pod dowództwem generała Kövessa. Komendę obwodową zorganizowano w lutym r. z., a pierwszym komendantem był podpułkownik von Turnau, od października przeniesiony do Lublina, przyczem następcą jego został dotychczasowy komisarz miejski podpułkownik Juliusz Schneider, Niemiec, uczący się po polsku z zapałem, aby módz się oryentować bezpośrednio w życiu społecznem polskiem i porozumiewać się z ludnością polską. Okazuje on życzliwość dla ciężkiego położenia ludności, dla której podniesienia już jako komisarz miejski położył poważne zasługi. Charakter łagodny, przystępny, nadaje ton życzliwy całej administracyi i stara się goić rany, jakie Królestwu Polskiemu zadała wojna, przyczem rozwija szeroką akcyę humanitarną.

Pod rządami podpułkownika Schneidra powiat podniósł się znacznie pod względem rolniczym, a także i komunikacyjnym. Rozwija się również pomyślnie samorząd gminny, zorganizowany na zdrowych podstawach. Wszędzie istnieją rady gminne, na miejsce wójtów i pisarzy gminnych, narzuconych przez Rosyan, weszły żywioły lepsze, niekorupcyjne. Obecnie czynione są przygotowania do nowych wyborów do rad gminnych w całym obwodzie.

Około życia samorządnego największe położył zasługi starosta dr. Jul. Dunikowski, któremu Piotrków zawdzięcza w pierwszym rzędzie szybkie spolszczenie zewnętrznego wyglądu (nazwy ulic, szyldy). Uczynny, grzeczny, jest też wiecznie oblężony przez tłumy publiczności, która się zwraca do niego z pełnem zaufaniem, zyskał też sympatyę w najszerszych kołach miasta. Mimo młodego wieku starosta Dnnikowski okazał na tem trudnem stanowisku wybitny talent administracyjny i polityczny. Jest to niewątpliwie człowiek przyszłości.

Staroście pomagają komisarze polityczni rotmistrz dr. Stanisław Gołąb, p. Kolarzowski i p. Cisło. Dla samego miasta Piotrkowa dużo zdziałał przydzielony do magistratu komisarz miejski major Mach.

Obwód piotrkowski jako graniczny nastręcza mnóstwo trudności natury komunikacyjnej, które starosta Dunikowski stara się wyrównać i łagodzić i w miarę możliwości ułatwiać, w czem mu pomagają dzielnie komisarze policyjni pp. Wnęk i Kulczycki, którzy z wielkim taktem i życzliwością traktują publiczność. Wielką sympatyą w mieście cieszą się również członkowie sądu komendy obwodowej szef pułkownik Wosmek, p. radca Kalczyński, audytor Brason i inni.

## Powiat bialski — polskim Legionom.

Staraniem bialskiego Wydziału powiatowego, głównie zasłużonego marszałka powiatu bialskiego i byłego prezesa Koła polskiego dra Stanisława Ła-



**Zarząd austro-węgierski w Królestwie Polskiem:** Starosta piotrkowski dr. Julian Dunikowski, sekretarz Namiestnictwa.

zarskiego, odbędzie się w pierwszych dniach czerwca w Białej uroczystość odsłonięcia tarczy Legionów polskich.

Tarcza Legionów polskich, projektowana i wykonana bezinteresownie przez młodego artystę-rzeźbiarza p. Józefa Jurę z Kęt, twórcę rzeźby austryackiego żołnierza na dworcu kolejowym w Przero

**Zarząd austro-węgierski w Królestwie Polskiem:** C. i k. komenda obwodowa w Piotrkowie 1) Komendant obwodu, podpułk. Jul. Schneider, 2) starosta dr. Jul. Dunikowski. 3) zastępca kom. obw. major Józef Wit, 4) komisarz rządowy miasta Piotrkowa major Fr. Mach, 5) radca sądu kraj. Teod. Kalczyński, 6) inspektor szkolny Edw. Korol.



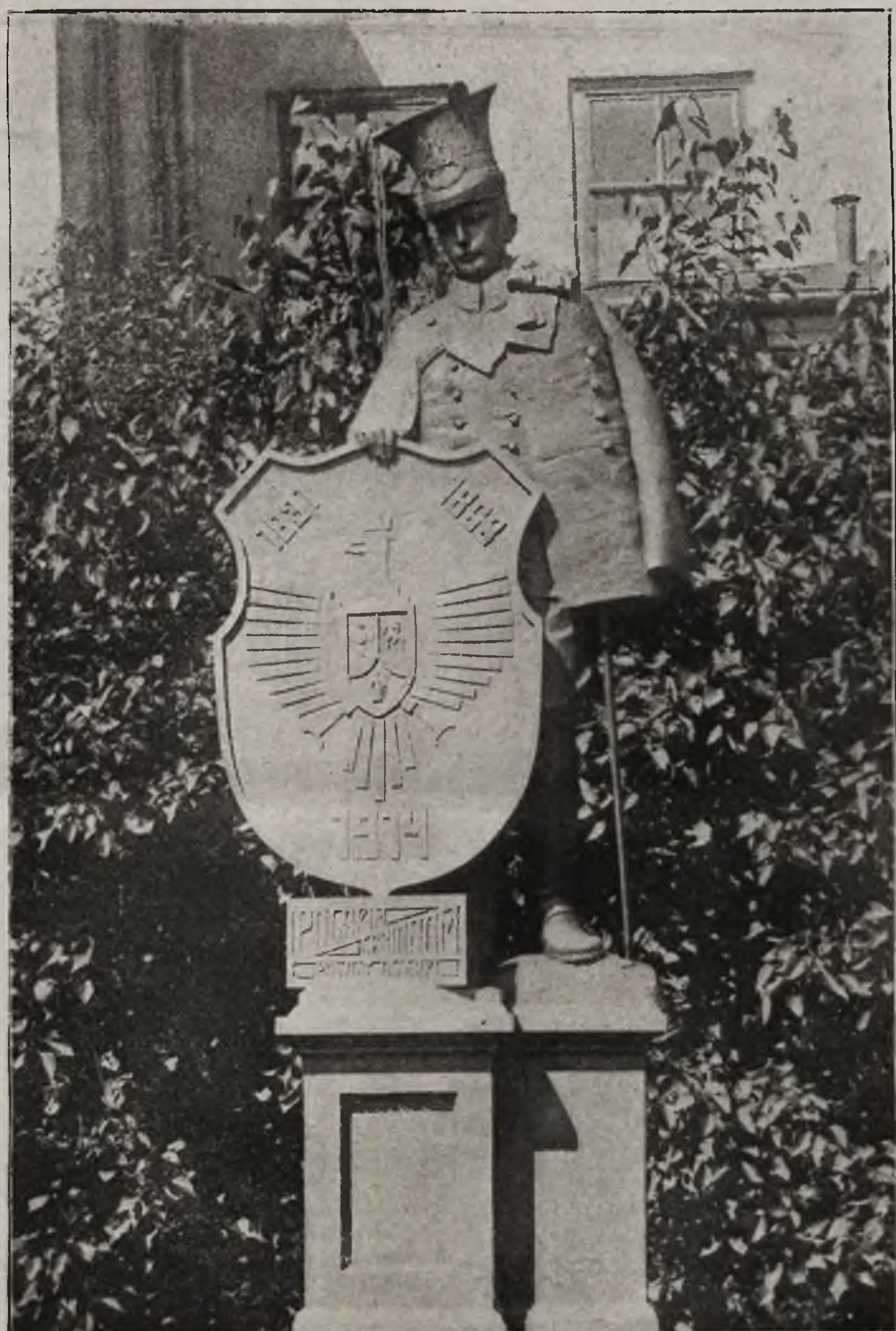
**Zarząd austro-węgierski w Królestwie Polskiem:** Wybory wójta w Parzniewicach, w obwodzie piotrkowskim.

wie, przedstawia się okazale i świadczy o oryginalności pomysłu młodego artysty.

Na kwadratowym cokole, wysokości 80 cm., wznosi się płaskorzeźba polskiego kawalerzysty, Beliniaka, podtrzymującego prawą dłonią tarczę ze stylizowanym orłem polskim i datami pamiątkowemi: 1831, 1863 i 1914. Na podstawce, na której opiera się tarcza, wyryło dłuto artysty słowa: Polskim Legionom — powiat bialski.




**Sztuka Legionom:** Rzeźba Kuczyńskiego (X) na wystawie, urządzonej we Lwowie na wdowy i sieroty po Legionistach.



**Powiat bialski — polskim Legionom:** Tarcza Legionów w Białej, wykonana przez artystę-rzeźbiarza p. Józefa Jurę

Tarcza wraz z cokołem i płaskorzeźbą polskiego kawalerzysty, Beliniaka, wykonana z drzewa lipowego z polichromią imitacyi bronzu, jest wysokości 240 cm. Patrząc na nią nawet z mniejszej odległości odnosi się wrażenie pełnej rzeźby.

Dochód ze sprzedanych gwoździ, wbijanych w tarczę, przeznaczył komitet, urządzający uroczystość, która — jak się spodziewać należy — wypadnie okazale — na fundusz wdów i sierot po Legionistach polskich.

## Manifestacyjny pogrzeb Legionisty.

W dniach 4. i 5. maja przez powiat miechowski przeprowadzono zwłoki jednego z najdzielniejszych oficerów Legionu polskiego, ś. p. porucznika Mieczysława Kwiecińskiego, który od chwili wkroczenia Strzelców do Królestwa Polskiego walczył bohatersko w szeregach I. Brygady.

O czynach i życiu mężnego oficera wspomina Kaden w przepięknej książce, opisującej bitwę pod Konarami, w czasie której ś. p. porucznik Kwieciński zginął (23. V. 1915).

Na początku maja b. r. rodzinna ziemia miechowska godnie uczciła zwłoki bohatera.

Miechów, Prandocin, Słomniki, Iwanowice i Maszków z przeprowadzenia zwłok uczyniły poważną manifestacyę patryotyczną. Tłumy ludu miejskiego i wiejskiego szły za trumną, okrytą sztandarem narodowym, dając w ten sposób wyraz swoim uczuciom pietyzmu i czci dla tego, który walczył, aby ta piękna ziemia krakowska była wolną.

Załączone fotografie przedstawiają momenty uroczystości pogrzebowych w Miechowie.



**Manifestacyjny pogrzeb Legionisty:** Pożegnanie zwłok ś. p. por Mieczysława Kwiecińskiego przez Miechowian.



**Manifestacyjny pogrzeb Legionisty:** Wyprowadzenie zwłok ś. p por. M Kwiecińskiego z kościoła w Miechowie.



**Manifestacyjny pogrzeb Legionisty:** Pogrzeb ś. p. por. Mieczysława Kwiecińskiego w Miechowie.

## Stanisławów Legionom.

Dnia 14. b. m. odbyło się w Stanisławowie w sali „Sokoła“ z wielką uroczystością odsłonięcie Kolumny Legionów, bardzo udatnie wykonanej przez profesora tamtejszej Szkoły krajowej stolarskiej, p. Rigla. Po odsłonięciu Kolumny nastąpiły przemówienia: prezesa Powiatowego Komitetu Narodowego p. Gerżabka, ks. prałata Piaskiewicza, delegata Naczelnego Komitetu Narodowego hr. Dzieduszyckiego, delegata Legionów kapitana Krzaczyńskiego, przewodniczącej Ligi kobiet p. Gerżabkowej, marszałka powiatowego p. Soboty i burmistrza miasta p. dra Nimhina. — Prócz tego odczytano list ks. biskupa Bandurskiego. Uroczystość zakończyła się wbijaniem gwoździ honorowych przez przedstawicieli władz, instytucyi, stowarzyszeń, szkół i t. d.

Kolumna Legionów przedstawia się wspaniale i budzi też ogólne uznanie dla jej twórcy.



**Stanisławów Legionom:** Kolumna Legionów w Stanisławowie.

(Fot. Głowacki, Stanisławów)

## Z żałobnej karty Legionów.

Wojna zbiera swój krwawy i śmiertelny haracz. Z pośród długiej listy jej ofiar, co złożyły w ofierze swe młode obiecujące życie, wspomnieć należy o ś. p. Leonie Kulczyńskim, chorążym Legionów Polskich, którego bohaterska śmierć stanowi stratę niepowetowaną. S. p. Leon Kulczyński był synem powszechnie cenionego Nestora naszego szkolnictwa, radcy dra L. Kulczyńskiego, docenta Wszechnicy Jagiellońskiej, dyr. gimnazyum św. Anny w Krakowie, i jego małżonki Jadwigi z Estreicherów. Był zatem wnukiem zasłużonego bibliografa, a sam, jako słuchacz praw Uniwersytetu Jagiellońskiego i absolwent Akademii handlowej, rokował jak najlepsze nadzieje. Tymczasem wybuch wojny przerwał jego pracę i plany. Powstają Legiony, a w ś. p. Leonie Kulczyńskim budzi się rycerski duch pradziadów. Bez wahania — choć z żalem i z bólem żegnając swą ukochaną rodzinę, zaciąga się pod chorągwie organizacyi „Sokoła". Po ćwiczeniach wyrusza z II. pułkiem II. brygady z początkiem listopada 1914 roku. Po skończeniu szkoły podchorążych i uzyskaniu stopnia chorążego walczył mężnie bez wytchnienia, bez przerwy, aż do zgonu bohaterskiego. Odbył całą kampanię karpacką, bił się w Bessarabii, aż wreszcie na Wołyniu w nocnym ataku padł na polu walki, ugodzony ekrazytową kulą w policzek. Po bitwie wyszczególnił bohaterskie jego męstwo pułkownik Januszajtis i, choć poległego, przedstawił do odznaczenia.

Zwłoki ś. p. Leona Kulczyńskiego pochowano w miejscu, gdzie zginął, w osobnym grobie, skąd je następnie rodzina przeniosła do Krakowa.

Piękny nagrobek, trwalszy nad spiż, wystawił mu towarzysz trudów wojennych i życia w okopach, St. Dzikowski, w postaci serdecznego, braterskiego wspomnienia, rzuconego — niby snop kwiecia, zroszonego łzą żołnierską — na świeżą mogiłę...



**Z żałobnej karty Legionów:** S. p chorąży Leon Kulczyński.



**Z żałobnej karty Legionów:** Grób ś. p. chorążego Leona Kulczyńskiego na polu walki, przed przewiezieniem zwłok do Krakowa.

„Pamiętam Leona Kulczyńskiego, zawsze poważnego i skupionego — pisze St. Dzikowski — nawet podczas najżywszej zabawy; pamiętam jego wytworne żarty, jego uśmiech dziwnie pociągający, jego obejście pełne spokojnej serdeczności. Był to człowiek, który lekceważył zawsze wszystko zewnętrzne i tem większą wykazywał wartość, o ile chodziło o treść istotną. Należał do najodważniejszych — odznaczał się zwłaszcza chłodem i pogardliwem traktowaniem niebezpieczeństwa. Był doskonałym znawcą spraw wojskowych. Pamiętam, jak siedzi pomiędzy nami cichy i milczący, a tylko lśniące oczy wskazują, że bierze udział w zabawie; od czasu do czasu jakieś spokojne jego powiedzenie wywołuje salwy śmiechu, ale twarz jego pozostaje niewzruszona. I pamiętam w tymże Bielgowie tę samą twarz straszliwie zniekształconą od wybuchowej kuli rosyjskiej, pamiętam tę chwilę, kiedy go razem z innymi grzebano... Pamiętam przez długi czas po jego śmierci przychodziły pisma, pamiętam kartki, w których rozmawiano z nim, jak z żywym człowiekiem i naglono, aby prędzej do Krakowa przyjechał, gdzie czeka na niego stęskniona rodzina... Pamiętam straszny, przejmujący krzyk, który się wyrwał z przestrzelonych piersi Bittnera, pamiętam Biestka, jak nawpół przytomny rzucał się na łóżku szpitalnem i jęczał głucho, kiedy się dowiedział o śmierci Kulczyńskiego..."

W dziejach naszej martyrologii i pielgrzymstwa zapisał on swoje imię trwale purpurowemi krwi własnej głoskami, jako wzór polskiego młodzieńca. Z czcią wymawiać je będzie i przechowa naród wśród najcenniejszych pamiątek, wśród tylu innych bohaterskich obrońców ziemi, którzy się stali godnymi spadkobiercami idei praojców i ich ofiarnych zmagań w 31. i 63. roku.

## Piękna uroczystość.

Niedawno odbyła się w Zakopanem w zakładzie dr. Chramca, obecnie przeznaczonym na wielki zakład leczniczy dla chorych piersiowo żołnierzy galicyjskich korpusów i Legionistów, piękna uroczystość, mianowicie ówczesny komendant, powszechnie lubiany i poważany kapitan Cernautian przypiął srebrny krzyż zasługi z koroną z dekoracyą wojenną wojskowemu rusznikarzowi Pochryniakowi. Na uroczystość tę wyruszyły wszystkie oddziały zakładu w ilości przeszło sześciuset ludzi i kilkudziesięciu znajdujących się wówczas w Zakopanem oficerów. Po dekoracyi odbył się koncert orkiestry złożonej z chorych tudzież defilada przed dekorowanym.

Ciekawą szczególnie jest fotografia orkiestry, złożonej z żołnierzy armii, obrony krajowej i Legionów. Złożył ją w krótkim bardzo czasie i znakomicie wyćwiczył porucznik strzelców Candolini, tak, że obecnie stanowi ona w zakładzie punkt atrakcyjny, tembardziej, że muzykanci oddają się muzyce z całym zapałem. Wogóle należy być wdzięcznym nadzwyczajnie władzom wojskowym za myśl urządzenia sanatorwum wojskowego w zakładzie dr. Chramca, który rozszerzono obecnie, tak, że pomieści on przeszło tysiąc ludzi. Chorzy znajdują tam nadzwyczajną opiekę, tak ze strony władz wojskowych, jak i właściciela zakładu, pożywienie otrzymują bardzo dobre i obfite, komendant zaś zakładu stara się też i o inne urozmaicenia.



**Z pola walki Legionów:** W rowie strzeleckim. (X) S. p. chorąży Leon Kulczyński





**Piękna uroczystość:**

Dekoracya wojskowego rusznikarza Pochryniaka w Zakładzie dra Chramca w Zakopanem.

Orkiestra w Zakładzie dra Chramca w Zakopanem, złożona z żołnierzy armii i Legionistów.

**VALENTIN MANDELSTRAMM.**

# FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

3

Bernac spostrzegł szybko, że próżno tylko czas traci na badaniu dozorców i porozumiawszy się z panem Cambaux, powrócił do mieszkania na górze.

Tam oddał się szczegółowej i sumiennej analizie. Posługując się małą lampką elektryczną i szkłem powiększającem, które nosił zawsze ze sobą, obejrzał wszystkie zamki u drzwi mieszkania pana de Lambriere, jakoteż pokoje służby. Następnie czołgając się na kolanach, bacznie skontrolował dywany i podłogi, zatrzymując się najdłużej w pokoju sypialnym.

Na kominku dostrzegł stos świeżo spalonych papierów, lecz pomimo dokładnego rozpatrywania nie mógł znaleźć śladu pisma, lub cyfr jakichś.

Dwa małe kluczyki, leżące na zwisającej kapie łóżka, zwróciły jego uwagę. Bernac pokazał je panu Cambaux i za jego zgodą schował do kieszeni.

Ostatnie dwa odkrycia pana Cambanx zastanowiły silnie Bernaca i pogrążyły w zamyślenie. Jednem było znalezienie rewolweru nabitego w szufladzie biurka, drugiem bilety okrętowe, zakupione na przejazd do Kanady na parowcu „Snudrige".

Bernac po chwili powrócił do kufra otwartego i prawie już wypróżnionego i przerzucając jeszcze raz porozrzucane najwidoczniej przez pana de Lambriere akcesorya toaletowe, znalazł drobny świstek papieru.

— Panie Cambaux! — zawołał Bernac, wskazując swoją zdobycz — Co pan o tem powie?

Była to nalepka hotelowa z napisem „Astolf Londyn", świeżo oddarta od kufra.

— Tak, oczywiście! — mruknął urzędnik, biorąc świstek do ręki — To było do przewidzenia. Lambriere prawdopodobnie nie był w Szwajcaryi wcale. Wyjaśnienia tej sprawy musimy szukać w Anglii.

— I ja to samo przypuszczałem, mój kochany — odpowiedział Bernac i nie zatrzymując się już więcej na tym punkcie, zaczął kręcić się koło łóżka, stojącego tuż przy drzwiach wiodących do korytarza. Przerzucał poduszki, materace, kołdry, węsząc przy tem jak pies gończy, wkońcu po dłuższym już czasie, przystanął zdziwiony, wyciągnął szybko mały notatnik z kieszeni i kreślić w nim coś począł. Następnie wydarł kartkę, włożył do koperty znalezionej na biurku i zwrócił się do pana Cambaux:

— Słuchajno, mój kochany! — rzekł — Pochwyciłem tu ciekawe jakieś zawikłania. Wyślij prędko tę kartkę do najbliższej apteki, przez którego z twoich ajentów.

Pan Cambaux, nie okazując najmniejszej ciekawości i zdumienia, wyszedł z pokoju, aby wypełnić polecenie przyjaciela.

Tymczasem Bernac powrócił do salonu i zbliżył się do zwłok, leżących na dywanie, a których nie oglądał jeszcze drobiazgowo. Miał bowiem zwyczaj zapoznać się przedewszystkiem z miejscem, gdzie zbrodnia dokonaną została.

Stanął przed panem de Lambriere i przenikliwem spojrzeniem objął tę twarz zastygłą już w spokoju śmierci, jakgdyby pochwycić chciał jej tajemnicę ostatnią.

Długo pochylał się nad znakami ciemnymi na szyi, a pan Cambaux, który właśnie powracał do pokoju, zauważył jak przy pomocy szkła powiększającego badał wargi samobójcy i jego język.

W tej chwili nadszedł ajent wysłany do apteki, niosąc flaszeczkę, napełnioną jakimś płynem.

Bernac powstał żywo, zażądał szklanki i odebrawszy ją z rąk służącego, wypełnił do połowy zawartością flaszeczki. Powrócił wówczas do sypialnego pokoju i poruszając płynem ponad łóżkiem na wysokości poduszek, przyglądał mu się z uwagą. Po upływie pięciu minut niespełna zbliżył się do okna i ustawił szklankę z płynem pod światło. Zawartość szklanki, przed chwilą biała, zabarwiła się dosyć silnym, niebieskim odcieniem.

Cambaux, coraz więcej zaintrygowany, śledził dyskretnie ruchy przyjaciela, nie śmiejąc przerwać jego milczenia.

Nareszcie Bernac, z tryumfującym uśmiechem, podszedł do niego i kładąc mu dłoń na ramieniu, wyrzekł przyciszonym głosem:

— Sprawa się bardzo komplikuje! Pan Lambriere nie zginął samobójczą śmiercią!

— Co mówisz? To niepodobna!

— Owszem, mój kochany — odkryłem, że był zachloroformowany przed śmiercią!

**Bernac przedstawia rzecz w właściwem świetle.**

W dwa dni później, w gabinecie swoim, ozdobionym ciężkimi dębowymi meblami i bogatą biblioteką, Bernac przyjmował zaproszonego przez siebie pana Cambaux i córkę zaginionego bankiera, Michalinę.

Młoda dziewczyna, pomimo usilnych nalegań miss Hopkins, chcącej jej towarzyszyć i wykazującej surowo, że obecność młodej osoby w gabinecie obcego mężczyzny jest co najmniej niewłaściwa — przybyła sama.

Zaraz na wstępie Bernac podziękował jej za ten objaw energicznej samodzielności, gdyż obecność Angielki, do której nie czuł najmniejszej sympatyi, nie była mu bynajmniej pożądaną. Usadowiwszy gości swoich w głębokich, wygodnych fotelach, zwrócił się do Michaliny.

— Pomoc pani, panno Michalino, tak chętnie ofiarowaną mi przez panią, przyjmuję naprawdę z wielką wdzięcznością. Przekonałem się już, że będzie mi bardzo użyteczną, bo zauważyłem u pani wiele odwagi i przytomności umysłu, tak potrzebnych w wyjaśnieniu tajemnic, które odkryć musimy. Ale poza detektywem Clemson, którego zalety dawno mi są już znane i którego wysłałem już do Londynu, aby pracował dla naszej sprawy, przyjaciela mojego Cambaux i pani, nie chcę mieć innych powierników i współdziałających. Niech się więc pani nie dziwi, że odrzucam nawet pomoc miss Hopkins, która zapewne zasługuje na wielkie zaufanie, choćby przez to samo, że lat już parę przebyła w otoczeniu pani i pana Versigny i także pana Delong, zaufanego sekretarza ojca pani. Im mniej osób wtajemniczonych będzie w sprawę pana Versigny, tem będzie lepiej.

— W takim razie widzę, że dobrze uczyniłam pozostawiając miss Hopkins w domu — uśmiechnęła się Michalina. — Byłaby się czuła dotkniętą, gdybyśmy ją wykluczyli z naszej rozmowy, a przyznam się pann, że nie chciałabym jej przykrości jakiej wyrządzić, bo okazuje mi prawdziwe przywiązanie i życzliwość.

Bernac z zadowoleniem potrząsnął głową i usiadł przy stole, przybierając ulubioną postawę, ilekroć miał do powiedzenia coś ważnego. Wsparł się łokciami o stół i twarz podparł rękami.

— Nie weźmie mnie pani za nudziarza i ty także Cambaux, jeżeli pokonferujemy trochę obszerniej. Ale stawiając w jasnem świetle wszystkie zebrane przez nas spostrzeżenia, ułatwimy sobie tem samem rozwiązanie.

— Mów, mów, mój kochany! — zawołał Cambaux zadowolony, że znowu może pracować przy współudziale tak cennego sprzymierzeńca.

— Musimy przedewszystkiem wyjaśnić — zaczął Bernac — czy morderstwo sir Archibalda Graves i samobójstwo pana de Lambriere mają pewną łączność z uprowadzeniem pana Versigny.

— Ah! panie Bernac! — zawołała Michalina — Gdyby pan mógł dać mi tę pewność, że ojciec mój naprawdę został tylko uprowadzony!

Cambaux ze zniechęceniem wzruszył ramionami, patrząc ze współczuciem na młodą dziewczynę, a Bernac chcąc ukryć wzruszenie, jakie go ogarnęło, zapalił szybko papierosa.

— W każdym razie, panno Michalino — rzekł po chwili, puszczając kłęby dymu w powietrze — jak dotąd nie mamy podstawy do innego przypuszczenia. Prawie z wszelką stanowczością twierdzić mogę, że dotychczasowe wydarzenia wywołane są jednemi lub też kilkoma identycznemi przyczynami.

— Jakże to? — przerwał Cambaux — Mówisz o jednej lub też kilku przyczynach. Czy nie widzisz całego łańcucha faktów, mających źródło jedno i to samo?

Bernac potrząsnął głową.

— Nie koniecznie. Widzę łączność w zamordowaniu sir Archibalda Graves i zniknięciu pana Versigny, bo wiedząc o stosunkach, jakie ich łączyły wzajemnie, mogę stanowczo połączyć te dwa fakta ze sobą. Ale śmierć pana de Lambriere może być przecież zupełnie od tych faktów niezależną. Na razie stawiam pewną hypotezę, przykrą dla pani, panno Michalino. Zaznaczam, że stawiam ją tylko z obowiązku, a potem odsunąć ją możemy. — Zniknięcie czy wyjazd pana Versigny może być tłumaczone winą pewną z jego strony, schronieniem się przed grożącą mu odpowiedzialnością. Zniknięcie bankiera nasunąć może zawsze podobne przypuszczenie. Hypoteza ta, z punktu moralnego, dla nas, znających pana Versigny, jest absudem. Zanadto dobrze wtajemniczeni jesteśmy w jego uczciwe i pracowite życie, aby naprawdę pomyśleć o czemś podobnem. A przytem mam już w rękach dowody, że pan Versigny nie jest winnym, ale stał się ofiarą innych.

— Oh! Niech pan mówi, panie Bernac! Niech pan mówi! — zawołała błagalnie Michalina.

— Proszę o cierpliwość jeszcze na chwilę, bo te dowody wypływają właśnie z tego, co mam dalej rozwinąć i wyjaśnić. Jako punkt wytyczny w naszem śledztwie nie biorę skonstatowanych faktów zbrodni dokonanej, lecz zatrzymam się na pierwszych objawach, które łączą się z nimi.

Od kilku dni, jak pani zauważyła, pan Versigny był niespokojny i nerwowy. Pomimo, iż to nie było w zwyczaju pani, zapytała się go pani o przyczynę tego stanu. Pan Versigny nie chce się tłumaczyć i odpowiada: „to nic", tonem człowieka silnie zajętego przykrą jakąś myślą. Miss Hopkins również nie przypomina sobie, aby usłyszała od ojca pani jakie słowo, mogące nas naprowadzić na ślad właściwy. Ponadto w papierach, które przeglądaliśmy razem, nie znaleźliśmy wskazówek żadnych.

Przychodzi teraz wezwanie telefoniczne: wzywają pana Versigny w imieniu osoby, nie chcącej wymienić swojego nazwiska. Ojciec pani wstaje nagle, wychodzi, zamykając starannie drzwi za sobą i powraca silniej jeszcze zdenerwowany.

Na rozkaz pana Cambaux czyniono dochodzenia na poczcie, które stwierdziły, że połączenie telefoniczne dokonane zostało z mieszkaniem pana Versigny w tym samym dniu i o tej samej godzinie wzmiankowanej przez panią i pochodziło z publicznego biura telefonicznego z ulicy Amsterdam.

Zaraz po śniadaniu ojciec pożegnawszy się z panią wychodzi i zamiast, jak zwykle, użyć automobilu, pozostawia szofera do dyspozycyi pani, tłumacząc się, że woli iść pieszo, chociaż czas był bardzo przykry.

Od tej godziny, to jest drugiej po południu tracimy jego ślad, aż do jego przybycia do biura mniej więcej około godziny czwartej. Woźny jeden i drugi na tym punkcie zgadzają się zupełnie.

Tutaj, spostrzegają pana Versiny przechodzącego szybko przez klatkę schodową i przedpokój z podniesionym kołnierzem futra. Proszę zwrócić uwagę na ten szczegół: pan Versigny cieszył się dotąd jak najlepszem zdrowiem i zimą czy latem widywano go w lasku bulońskim na koniu, w lekkiej tylko marynarce. Ważnem jest także zeznanie Edwarda, woźnego, który twierdzi, że podczas dwukrotnej rozmowy telefonicznej z panem Versigny, zauważył zmianę w jego głosie i zachrypnięcie.

Pan Versigny przyszedłszy do biura nie chce przyjąć nikogo, nawet korespondencyi swojej przeczytać nie pragnie i ostrzega woźnego, że nie odpowie na żadne wezwanie telefoniczne. Następnie w chwili opuszczenia biura stara się o oddalenie służącego, gdyż zapewne nie chciał być powtórnie przez niego widzianym.

Po drobiazgowem pytaniu portyera, woźnego i pana Delong, doszedłem do wniosku, że mogę z całą pewnością ręczyć za zgodność ich zeznań, które również odpowiadają zeznaniom tych ludzi, którzy po południu przychodzili do biura i przez pana Versigny'ego nie zostali przyjęci. Woźny Edward jak zawsze zapisywał nazwiska ich na tablicy w przedpokoju, mogłem się więc u nich poinformować.

Z tych zebranych faktów wnoszę więc, że nie pan Versigny był po południu w biurze swojem, lecz osoba, która się przebrała w jego ubranie i za niego uchodzić chciała.

— Czy to możebne? — szepnęła z przerażeniem Michalina, chwytając Bernaca za rękę.

— Więcej nawet, niż możebne! — potwierdził tryumfująco pan Cambaux, patrząc z podziwem i zadowoleniem na swojego przyjaciela. — Słowom Bernaca może pani z całym spokojem wierzyć.

— Ponadto — mówił dalej Bernac — mamy prawo przypuszczać, że ojciec pani padł ofiarą zasadzki, z którą łączność mieć musi niewątpliwie to szczególne wezwanie do telefonu. Trzeba bowiem pamiętać, że powróciwszy do domu przed śniadaniem, kazał szoferowi być przygotowanym na godzinę drugą. W międzyczasie więc zmienił nagle zdanie, skoro wyszedł pieszo.

Z tego argumentu wypływają następujące przypuszczenia: po pierwsze osoba, która chciała uchodzić za pana Versigny'ego, musiała brać udział w zniknięciu jego, skoro była w posiadaniu jego futra, laski i teczki z czerwonej skóry; po drugie była nadzwyczajnie wprost obznajomiona z wewnętrznymi warunkami i rozkładem biur bankowych, tak, jak gdyby tam uczęszczała często i znała zwyczaje pana Versigny i personalu. Sam fakt wysłania woźnego po starego ojca Bulot, znajdującego

się w najodleglejszem biurze, jest bardzo charakterystyczny.

Należy tylko przekonać się, w jakim celu osobistość ta przybyła na ulicę Pillet Will.

Zapewne przeszukać kasę wertheimowską. W takim razie znany jej był klucz od niej, bo jak wiemy, kasa nie była siłą otwierana.

Ale co ten człowiek wziął z niej? Nie pieniądze, bo według twierdzenia pana Delong, pan Versigny nie przechowywał tam nigdy sum żadnych, tylko papiery. A więc dobrano się do kasy dla skradzenia dokumentów, o których istnieniu wiedziano i to dokumentów tej ważności, że osoba, dla której one miały wartość niezaprzeczoną, gotowa była narazić się na wszystko najgorsze.

Do tej pory nie posiadamy żadnego wyjaśnienia co do rodzaju tych papierów skradzionych, ale że śledztwo przeprowadzone na ulicy Heldez w hotelu „Princelet", wykazało, że jedyną osobą, która odwiedziła sir Archibalda Graves, była ta sama właśnie, która chodziła w przebraniu pana Versigny — musimy wnioskować, że morderca i złodziej dokumentów był jedną i tą samą osobą.

A teraz pytanie jedno, które samo na myśl się nasuwa:

„Czy sir Archibald Graves oczekiwał odwiedzin pana Versiguy'ego i czy w danym wypadku mówił z nim samym rzeczywiście w hotelu „Princelet"? Czy też wiedział, że ten, który przybyć miał, przedstawi się pod postacią bankiera. W tym ostatnim wypadku sir Archibald Graves byłby wspólnikiem tego człowieka i ułożył spotkanie z nim w celu odebrania potrzebnego mu dokumentu, wyjętego z kasy".

Przypuszczam, że sir Archibald Graves i ojciec pani, panno Michalino, znali się już oddawna i jakiś fałszywy Versigny nie mógł niepostrzeżenie wywieść w pole angielskiego milionera. Do tego jednak powrócimy w swoim czasie.

Jak na teraz cel pobytu tego ostatniego w Paryżu jest nam niejasny, a przyjaciel mój Clemson doniósł mi już dzisiaj z Anglii, że nikt z urzędników i wspólników sir Archibalda Graves nie wiedział o zamierzonej jego podróży do Francyi. Clemson ponadto twierdzi, że wszyscy tam są tak przerażeni wypadkiem, że niema mowy o jakiejś nieszczerości słów.

— Pozwolisz mój kochany — przerwał Cambaux — że zadam jedno pytanie. W jakim celu według ciebie ten sobotwór bankiera Versigny, który widocznie musi być nadzwyczaj zręcznym człowiekiem, zorganizowawszy tak po mistrzowsku porwanie pana Versigny — odrzucamy naturalnie hypotezę oszustwa jego względem sir Archibalda Graves — zachował postać bankiera w chwili odwiedzin swoich w hotelu „Princelet". Czy w tym wypadku nie narażał się dobrowolnie na odkrycie śladu po sobie?

— Może on to rozmyślnie uczynił! — zauważyła milcząca dotąd Michalina — Bo w ten sposób rzucił na mojego ojca podejrzenie o zamordowanie sir Archibalda Graves.

Bernac uśmiechnął się niedowierzająco.

— Dlaczegóż w takim razie porzucił w tramwaju futro, laskę i teczkę ojca pani? Widocznie chciał się jaknajprędzej pozbyć tych kompromitujących go rzeczy.

— Nie wiedziałem o tem! — rzekł Cambaux — To rzuca zupełnie inne światło na kombinacye tego pana.

— Ja również dotąd nie wiedziałem o tem. Poinformowany zostałem przez mojego szofera, Antoniego, który na rozkaz mój od wczoraj przeszukuje biura znalezionych rzeczy. To też wnioskuję z tego odkrycia rzecz inną. Ten człowiek nie przybył w zamiarze zamordowania sir Archibalda Graves. Zbrodnia, którą popełnił, była wypadkową, nie obmyślana naprzód.

Teraz poruszę kwestyę śmierci pana de Lambriere. Ogólnie wierzą w dokonane przez niego samobójstwo. Przyznaję, że mógł mieć przyczyny do skrócenia sobie życia. Cambaux i ja wykryliśmy, że był obciążony prawie pełnym milionem długu i jako gracz namiętny wyczerpał już kredyt wszelaki. Jednakże ta myśl o samobójstwie zanadto szybko skrystalizowała się w nim, skoro dopiero co właśnie nabył pod cudzem nazwiskiem bilet przejazdu do Kanady i miał odpłynąć pierwszym parowcem linii „Blac Star". Zresztą, pan de Lambriere nie powrócił do domu w tym dniu, w którym znaleziono go powieszonym, lecz dzień przedtem, wieczorem i spędził część nocy w łóżku, zważywszy, że łóżko to było rozburzone zupełnie.

A przytem poczyniłem w mieszkaniu pana de Lambriere różne odkrycia, wykluczające przypuszczenie samobójstwa. Na szyi jego zauważyłem niezależny od sinego odcisku sznura, znak węższy, uczyniony jakgdyby cienkim rzemykiem, przy pomocy którego najsamprzód go uduszono.

— Ah! Panie Bernac! To przecież straszne! — krzyknęła Michalina — W jakimże znowu celu zamordowano mojego wuja?!

— Dowiemy się zaraz o tem, tylko proszę opanować się trochę, Michalino, bo jeszcze niejedną rzecz przykrą i smutną będzie pani zmuszoną usłyszeć. Powracam do pana Lambriere. Przekonałem się również o istnieniu w pokoju sypialnym gazów chloroformowych, a doszedłem do tego spostrzeżenia używszy odczynnika wskazanego. Ponadto, dostrzegłem w murze, przy którym stało łóżko, mniej więcej na wysokości poduszek, wywiercony niewielki otwór, który mógł służyć do przeprowadzenia rurki od rozpylacza. Jednem słowem, widzę prawie niezbitą pewność, że pan de Lambriere nie zginął samobójczą śmiercią, lecz został uśpiony, dalej uduszony podczas snu i następnie powieszony dla zmylenia śladu.

Ale jeszcze jedno, tylko panno Michalino proszę zebrać całą energię i nie drżeć tak okropnie. Oglądając wargi zmarłego dostrzegłem na nich ślady gumy arabskiej i włosów źle odlepionych. Wiemy, że pan de Lambriere nigdy nie nosił zarostu.

— Więc co? Więc co pan przypuszcza? — zapytała gwałtownie młoda dziewczyna, wlepiając w mówiącego oczy pełne przerażenia i zgrozy.

— To, że wuj pani nalepił sobie fałszywe wąsy, prawdopodobnie dzień jeszcze przedtem i nie znalazł czasu, lub nie mógł oczyścić twarzy zupełnie.

— Ale w jakim celu? Mój Boże, w jakim celu, panie Bernac?!

— Zaraz panno Michalino. Domyśli się pani sama, jak powiem jeszcze, że znalazłem po dłuższych poszukiwaniach porzucony pod dywanem pęk kluczów, z których jeden nadaje się doskonale do kasy ojca pani.

— A więc wuj mój... — szepnęła Michalina.

— Wuj pani jest tym człowiekiem, który odwiedził sir Archibalda Graves w hotelu „Princelet" i następnie w przebraniu ojca pani był w jego biurze i otwierał kasę.

— To przecież jest straszne! — wymówiła młoda dziewczyna, usuwając się bezsilnie na fotel — Par de Lambriere, brat mojej matki... panie Bernac... a może to jednak pomyłka!

— Niestety nie, biedne dziecko! — odparł Bernac, podchodząc do Michaliny i biorąc serdecznie jej rękę. — Wuj pani był człowiekiem bardzo lekkomyślnym i ta lekkomyślność musiała go kiedyś doprowadzić do zbrodni.

Milczący dotąd Cambaux powstał nagle i gorąco uścisnął rękę przyjaciela.

— Wiedziałem, że nie zawiodę się na tobie, mój kochany! — wyrzekł tryumfującym głosem. — Jesteś poprostu genialny. Bez ciebie Bóg wie jak długo błądzilibyśmy jeszcze w ciemnościach.

— A teraz moi kochani — podjął Bernac po chwili widząc, że Michalina uspokoiła się trochę — musimy się wziąć do dzieła i to w praktyczny sposób. Ułożymy plan działania metodyczny, koncentrujący najlepiej wszystkie fakta, któreśmy omówili. Zdaje mi się, że najlepiej będzie podzielić go na trzy części. Jedną będzie poszukiwanie tego wszystkiego co w ostatnich czasach działo się około pana Versigny, drobiazgowe śledztwo wszystkich osób mających z nim styczność. Druga obejmować będzie działalność „króla dyamentowego", sir Archibalda Graves i tę część powierzymy Clemsonowi w Anglii, który nas informować będzie.

W końcu zajmiemy się gorliwie życiem lat ostatnich barona de Lambriere.

A mam głębokie przeczucie, że w danej chwili, jeżeli tylko zręcznie postępować będziemy, przy kontakcie tych trzech działalności naszych, wytryśnie światło, które nam rozjaśni tajemnicę całą.

### Włodzimierz Guzow.

Było to na dwa miesiące przed wykryciem wypadków wyżej opisanych, którymi zajmowały się gorąco wszystkie dzienniki, tak samo miejscowe jak i zagraniczne, poświęcając im codziennie długie, wyczerpujące artykuły.

W przedpokoju banku przy ulicy Pillet-Will siedział przed stołem, zasłanym zielonym suknem, woźny Edward, czekając, jak zwykle, na nadejście klientów i znajomych bankiera Versigny. Był to dzień, jedyny w tygodniu, w którym bankier Jerome Versigny przyjmował bez wyjątku, między godziną trzecią a szóstą po południu, wszystkich zgłaszających się.

Pomiędzy innymi wsunął się niezgrabnie do przedpokoju wysoki, młody człowiek, chudy i pochylony. Twarz, o wyrazie bardzo łagodnym, zakrywały po części długie jasne włosy i broda. Ubrany był w płaszcz ciemny miejscami dobrze już wytarty, a trzewiki jego świadczyły o bardzo długiem użyciu. Wszedł nieśmiało, mnąc w rękach stary, filcowy kapelusz, o szerokich kryzach.

Podszedł do woźnego i rzekł uprzejmie cudzoziemskim akcentem:

— Pragnę bardzo widzieć się z bankierem Versigny. Czy sądzi pan, że mnie przyjmie?

Edward spojrzał ze zdziwieniem na gościa, ale przyzwyczajony do służbistości odpowiedział natychmiast grzecznie:

— Owszem, proszę pana. Oznajmię pana przybycie. Mówiąc to podał mu blok, prosząc o skreślenie nazwiska.

Nazwisko to brzmiało: Włodzimierz Guzow.

Woźny skrupulatnie przepisał je do głównego notatnika, oddarł kartkę, położył ją na tacy i skierował się do gabinetu Jeroma Versigny. Ponieważ bankier na razie nie był zajęty, Włodzimierz Guzow został bezwłocznie przyjęty.

Bankier Jerome Versigny przyjmował wszystkich odwiedzających go z równą uprzejmością i taktem i nie należał do tych, co sądzą człowieka jedynie z powierzchowności.

Wskazał przybyłemu krzesło naprzeciw siebie i kiedy ten coraz więcej onieśmielony usiadł na kraju samym, nie wiedząc co z sobą począć, zagadnął go grzecznie, obrzuciwszy przedtem tę twarz wynędzniałą i sympatyczną bystrem spojrzeniem.

— Czem mogę panu służyć?

Włodzimierz Guzow przybladł jeszcze silniej i wymówił z trudem cedząc słowa:

— Ja chciałem... nie wiem doprawdy od czego zacząć... musiałbym...

Bankier Versigny widząc jego zmieszanie, poczuł nagłe zainteresowanie do tego niepokaźnego człowieka, powstał, podszedł bliżej i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł życzliwie:

— No, mój przyjacielu, czy to takie ciężkie do wypowiedzenia? Czy wyglądam na człowieka, który nie rozumie życia?

Sądził, że młody ten człowiek, widocznie bardzo ubogi, przyszedł prosić go o jaką pomoc materyalną i w ostatniej chwili nie miał odwagi wypowiedzieć swojej prośby.

Ale Jerome Versigny mylił się, bo Włodzimierz Guzow, cokolwiek już pewniejszy siebie, zaczął mówić niskim, miękkim głosem, patrząc prosto w twarz bankiera:

— Przedewszystkiem niech pan wybaczy, jeżeli się nieprawidłowo wyrażać będę. Jestem Rosyaninem, jak to pan już pewnie zauważył z brzmienia nazwiska. A to co powiem wyda się takie dziwne i niedorzeczne, że lękam się, aby mnie pan nie wziął za szaleńca... i nie zechciał wysłuchać do końca mojego wyjaśnienia.

— To zaczęcie rozmowy jest rzeczywiście pełne tajemnic — odparł bankier Versigny, uśmiechając się dobrotliwie do swojego gościa — Ale chcę pana uspokoić pod tym względem. Od trzydziestu lat prowadzę życie bardzo czynne wśród ludzi różnego rodzaju i doprawdy nic już nie jest w stanie zadziwić mnie. Niech więc pan mówi bez obawy.

— Zwróciłem się do pana dlatego właśnie, że słyszałem wiele o rozumie i pobłażliwości pana — ciągnął dalej Włodzimierz Guzow — że pan jako umysł otwarty interesuje się postępem i nowemi odkryciami w dziedzinie nauki. A jednak namyślałem się długo, dla różnych przyczyn. Czy pan uwierzy, że już cztery tygodnie walczę ze sobą i odchodzę od domu pana, nie wyznawszy panu mojej tajemnicy?

Versigny zaczął już od chwili odczuwać żywe zainteresowanie, zrozumiał, że ma przed sobą nie codziennego człowieka i że słowa jego, które widocznie nie były z góry obmyślone, nie miały na celu oszukaństwa jakiego nizkiego.

Ale Versigny nie lubiał czasu tracić na próżno. Usiadł na dawnem miejscu przy biurku i zapytał krótko i poważnie:

— A więc, mój kochany panie, o co chodzi? Czem mogę pana usposobić do szczerości?

— Niech tylko pan zechce wysłuchać mnie do końca.

— Obiecuję to z całą przyjemnością.

Twarz Włodzimierza Guzowa przeistoczyła się nagle. Łagodne jego niebieskie oczy zabłysły niezwykłem światłem.

— Oto, mój panie, ja wykryłem sposób na fabrykację dyamentów — wyrzucił jednym tchem, głosem silnym i podniesionym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

**W rocznicę wypędzenia Rosyan:** Dziewczęta wiejskie i goście na uroczystości odsłonięcia rycerza w zbroi w Drohobyczu. (Fot. B. Liebermann).

**Kongres lekarzy niemieckich w Warszawie:** Obrady kongresu w auli Politechniki. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

# Kronika tygodniowa.

Zanim przystąpię do właściwej kroniki, muszę przedtem zadość uczynić prośbie mego redakcyjnego kolegi, referenta od zagadek, z którym żyję w bardzo ścisłej przyjaźni i zwrócić się w jego imieniu do tych wszystkich, którzy nadsyłają nam „przez pomyłkę“ lub „przez zbytni pospiech“ rozwiązania zagadek, albo też nowe zagadki w listach niedostatecznie opłaconych lub też zupełnie nieopłaconych. W konsekwencyi poczta wymierza nam podwójne porto, a korespondencya idzie najczęściej do kosza, gdyż do druku się nie nadaje. Nasz kosz redakcyjny jest z tego powodu bardzo dumny, rzadko bowiem można spotkać drugi, któryby zawierał w swem wnętrzu takie „drogie“ listy.

Jeżeli kto ma więc ochotę nadsyłać rozwiązania lub nowe zagadki, co i jedno i drugie jest bardzo chwalebnem i naśladowania godnem, niechaj przy tem pamięta, że listy, nawet otwarte, muszą być opatrzone marką za dziesięć halerzy, kartki zaś pocztowe marką za pięć halerzy. Wolne od opłaty są tylko listy od żołnierzy, będących w polu. Inaczej, nie da rady! Są wprawdzie ludzie, bo sam takiego spotkałem, którzy powiadają, że każdy, kto ma bodaj dalekiego krewniaka we wojsku, powinien być uwolniony od frankowania listów, ale w takim razie poczta musiałaby zbankrutować, gdyż niema chyba rodziny, któraby bodaj jednego członka nie wysłała na obronę granic kraju.

Otóż ci, którzy tak sądzą, grubo się mylą i zupełnie niepotrzebnie narażają nas na wydatki, bez których absolutnie obejść się powinno. Trzeba jednak pamiętać, że istnieją przepisy pocztowe, których przestrzegać musi, kto chce, by był zbawionym.

W ubiegłym tygodniu takich nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych korespondencyi otrzymaliśmy aż siedmnaście. Administracya, w której zajęte są przeważnie przedstawicielki płci nadobnej, była z tego powodu ogromnie zirytowana i całą złość chciała wywrzeć na biednym referencie zagadkowym, dla niego bowiem większość tych listów była przeznaczona.

Bronił się, jak mógł, ja mu pomagałem, ale to na niewiele się zdało. Władczyni kasy, która za każdy nieopłacony list musi złożyć dwadzieścia halerzy w niklu lub miedzi, była zdania, że on powinien zwrócić kasie ten wydatek.

— Ja? — pytał.

— Tak jest! Pan! — odparła — Gdyby nie było zagadek, nie byłoby rozwiązań w nieopłaconych listach.

— Święta prawda!... Ale ja im przecież nie kazałem takich rozwiązań nadsyłać.

— Nic mnie to nie obchodzi! Na pierwszego ściągnę panu całą tę kwotę z gaży...

— Ani mi się śni! Ja nie jestem temu winien, ja też kary ponosić nie mogę.

— W takim razie niech pan coś zrobi, aby się podobne wypadki w przyszłości nie powtarzały, bo inaczej będzie pan miał ze mną do czynienia!

Biedaczysko przeląkł się i do mnie, jak w dym, po radę. A że ja, choć radcą nijakim nie jestem, lubię przecież każdemu radzić i, co najważniejsza, radzę zwykle dobrze, lepiej nawet niż sobie, powiadam mu:

— Wiesz, kolego, co zrobimy?

— Nie! Nie wiem! — odpowiedział.

— Otóż ja ci powiem! W następnej kronice napiszemy odezwę do przeciwników frankowania listów (tak zwani „antifrankiści“) i poprosimy ich całkiem seryo, by zerwali z dotychczasowym procederem. Przestańcie dzieci, bo się źle bawicie!

Zgodził się na mój projekt, z góry mi podziękował, wobec czego i ja wywiązuję się niniejszem ze swego zadania i sprawę tę polecam gorąco sercu, mózgowi i kieszeni P. T. Czytelników. Kto chce pisywać listy, niech pamięta o tem, że trzeba je ofrankować, gdyż w przeciwnym wypadku karę ponosi Bogu ducha winna osoba, tak, jak tutaj nasza administracya. A trzeba pamiętać, iż czasy teraz są coraz cięższe i szkoda każdego niepotrzebnie wydanego halerza.

Załatwiwszy się z jednym mandatem, zabieram się do wykonania drugiego, zanim przecież powiem, o co mi się rozchodzi, muszę przytoczyć epizod z pochodu Trzeciego Maja w Warszawie. Ze sprawą, o którą mam kruszyć swą kronikarską kopię, ma ona ścisły związek.

W dniu 3. maja b. r., w owym prawdziwie imponującym pochodzie, który oglądała Warszawa, postępowała też delegacya dziennikarzy i literatów. Gdy ją w jednem miejscu przywitano gromkim okrzykiem: „Niech żyje polska prasa!“... podziękowali serdecznie moi koledzy po piórze, ale jeden z ich grona dorzucił: „Ale z czego?“...

Bo i z czego tu żyć, gdy czasy stają się coraz cięższe, warunki coraz trudniejsze, a ogół czytającej Publiczności (może tylko poszczególne osobniki!..) coraz mniej wyrozumiałym?

Kilkakrotnie już wspominałem, że pracujemy w bardzo niepomyślnych warunkach, po prostu ponad siły, a niestety, nie cieszymy się takiem poparciem, na jakie sobie chyba zasłużyliśmy. Nasza Publiczność żąda od nas nadzwyczajności, sama natomiast w zamian nic nie dając, większość bowiem ogranicza się do przeglądnięcia numeru w cukierni, kawiarni lub restauracyi i wypowiedzenia o nim mniej lub więcej trafnego sądu. I to, według ich zdania, ma się nazywać popieraniem prasy polskiej.

Spytaj takiego pana:

— Czy jest pan prenumeratorem?

— Ja?... — odpowie zapytaniem na zapytanie.

— Tak! Pan!

— To się po mnie nie pokaże! Ja z zasady nie prenumeruję pism żadnych. Od tego mam kawiarnie i cukiernie...

— W takim razie może kupuje pan pojedyncze numery?

— Nie!... Choć, prawda, raz kupiłem jeden egzemplarz *Nowości illustrowanych*, była w nim bowiem odbita moja podobizna. Schowałem sobie na pamiątkę...

— Tak! Jeśli jednak wszyscy będą postępować tak samo, jak pan, to skądże redakcya znajdzie fundusz na prowadzenie i ulepszanie pisma?

— Mnie o to głowa nie boli! Chcą wydawać, niech myślą o źródłach dochodu.

— Ba! Jeżeli jednak ogół będzie tak samo, jak łaskawy pan usposobiony, to gdzież szukać tych źródeł. Wszak swój powinien popierać swego...

— Co mi tam pan kłopoci tem głowę! Zresztą teraz ciężkie czasy, z groszem trzeba się liczyć! Są inni, mający więcej odemnie, niech oni prenumerują pisma, mnie nie stać na to!...

Taki pan, jak ten, o którym wyżej była mowa, czytuje więc chętnie pisma najróżnorodniejszych odcieni politycznych, boć każdy jest przecież ciekawy, co się dzieje w świecie, jest przytem zdania, że na takie głupstwa, jak gazety, nie powinno się wydawać pieniędzy. Na bibkę, to co innego, przynajmniej ciało ma pożytek, wspomaga się także krajowy handel i przemysł.

Są jednak jeszcze gorsi, którzy również na ten cel halerza nigdyby nie wydali, ci jednak nie ograniczają się na przeglądnięciu pisma i wypowiedzeniu o niem swego zdania, ale z zasady muszą koniecznie je skrytykować. Zdaje mu się, że obrzucenie błotem swojego rodzimego wydawnictwa podnosi go w oczach innych. Co prawda, kiwają nieraz głowami, ale są zupełnie innego zdania.

— Takie illustracye! — woła taki znawca. — Toż to po prostu skandal! Proszę popatrzyć na wydawnictwa lipskie lub choćby wiedeńskie...

Czy jednak ów pan, nastrojony na taki ton wysoki, przyłożył bodajby rękę do tego, by to pismo, które tak skrytykował, mogło się rozwijać i wstępować w ślady wydawnictw zagranicznych? Czy jest prenumeratorem?

Nie! On ogranicza się na czytaniu w kawiarni, lub gdy mu kto pożyczy, albo numer da gratis, ale też uważa za swój obowiązek równocześnie suchej nitki na wzdawnictwie nie zostawić, zapominając, że w ten sposób wyświadcza mu iście niedźwiedzią przysługę.

Takich zaś, którzyby chętnie czytali, pod warunkiem przecież, że ich to ani centa nie będzie kosztować, jest u nas zbyt wielu, wobec tego też redakcye, o ile nie są subwencyonowane przez stronnictwa lub jednostki, głowy sobie dość muszą nałamać, by bodaj związać koniec z końcem.

To czytelnicy, a teraz coś niecoś o naszych kupcach i przemysłowcach i ich stosunku do dziennikarstwa.

Za granicą i to nie tak daleko, bo już nawet na Śląsku wiedzą dobrze wszyscy i rozumieją, jak potężnym czynnikiem w życiu handlowem i przemysłowem jest reklama. Dość wspomnieć taki „Kalodont“ Sarga, lub obcasy gumowe Bersona, na polecenie których wytwórcy nie żałują pieniędzy, ale też i dobrze na tem wychodzą i racyonalnemu reklamowaniu towaru zawdzięczają, że w całym świecie wyroby ich są znane i znajdują zbyt.

To też jeśli się weźmie w rękę pismo zagraniczne n. p. wiedeński *Interessantes Blatt*, albo humorystyczny tygodnik monachijski *Fliegende Blätter*, znajdzie się tam taką moc ogłoszeń i reklam wszelkiego rodzaju, że poprostu, aż mąci się w głowię. A jednak mają one swe znaczenie, w przeciwnym bowiem razie zagraniczni kupcy i przemysłowcy, ludzie bardzo praktyczni, nie wydawaliby pieniędzy na marne.

A u nas?

U nas jest zupełnie inaczej. Nasz kupiec lub przemysłowiec, o ile jest starej daty, a takich u nas najwięcej, w żaden sposób nie da się przekonać o wartości reklamy i powiada, że to wyrzucone pieniądze, kto bowiem chce przyjść do niego i kupić, przyjdzie i bez ogłoszenia. Czasem, ale bardzo rzadko da się przekonać, ale pod warunkiem, aby to jak najmniej kosztowało i aby mógł należytość za inserat zapłacić towarem nie gotówką.

Z tego to właśnie powodu, dział inseratowy naszych pism przedstawia się bardzo marnie i do tego połowę zajmują firmy zagranczne, ktore szukają u nas rynków zbytu, a dochód pisma z tego, nazwijmy je przedsiębiorstwa, równa się prawie zeru, gdy tymczasem za granicą równa się setkom tysięcy.

Jeśli więc zestawimy teraz teraz to poparcie, jakiego doznaje prasa polska od czytającej Publiczności, z poparciem sfer handlowych i przemysłowych, a zarazem dodamy, że z powodu wojennych czasów niektóre artykuły, jak farba, papier i t. d. podrożały o dwieście i trzysta procent, niektórych zaś, jak n. p. kwasów do trawienia klisz i cynku wprost dostać nie można, nie zdziwimy się chyba, słysząc dziennikarzy narzekających na swą dolę i zastanawiających się nad tem: „Żyć, ale z czego?“

Gdybyśmy byli bodaj w tych warunkach, w jakich są nasi zagraniczni koledzy po piórach i po nożycach!

Wspominam o tem wszystkiem dlatego, aby odpowiedzieć owemu Panu, który napisał nam list, że ponieważ illustracye w *Nowościach* wypadają dziś słabo, on zaprenumeruje sobie podobne wydawnictwo niemieckie!

Wolna wola, Łaskawco, do prenumerowania *Nowości illustrowanych*, nikt Cię zmusić nie może, pamiętaj jednak, że już łacinnik powiedział: *ad impossibilis nemo tenetur* i że w tym wypadku jeśli kto winien, to nie popierająca prasy P. T. Publiczność, której wszystko jedno, czy to pismo redagowane w duchu polskim, czy chińskim, byle miało ładne obrazki.

Praca w tych warunkach może chyba wyłżć bokiem!

# Zagadki do nagrody.

**Szarada.**

Ułożył St. Ekier, Kraków.

Płyn e łezka *pierwsze-trzecie*,
Gdy zarosło *drugie;*
Musiała nie widzieć ludzi
Lata bardzo długie.
Czasy wojny! Piękna *całość*
Nie ma tęgiej miny,
Choć w ubiegłym już miesiącu
Miała imieniny.

**Kwadrat magiczny.**

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń

Z podanych liter ułożyć pięć wyrazów, równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym

a a a a a
a a e i k
k l l m n
n o o r r
r r t t y

*Znaczenie wyrazów*: 1 Wyspa grecka. 2 Prowincya austryacka. 3 Miejsce popisów. 4 Część drzewa 5 Sygnał

**Równanie.**

Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu imię polskiego poety, w drugiem nazwisko, w trzeciem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{5}+\frac{c}{3}=x.$$

$$\frac{d}{3}+\frac{e}{3}+\frac{f}{2}=y.$$

$$\frac{g}{3}+\frac{h}{4}+\frac{i}{3}+\frac{k}{4}=z.$$

*Znaczenie wyrazów:* a) Kraj znany z Biblii. b) Nauka o budowie ciała c) Miasto w Mezopotamii d) Związek glinowy. e) Słynny pierwiastek. f) Naczynie kuchenne g) Krótka rozprawa h) Stróż bezpieczeństwa. i) Ptak błotny (rodzaj kaczki) k) Choroba ócz.

**Szarada.**

Ułożył St. Ekier z Krakowa.

*Pierwsza* rysunek,
Zaimek *druga*,
*Całość* w Krakowie
Piękna i długa.

**Logogryf.**

Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko współczesnego muzyka.

□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

*Znaczenie wyrazów:* 1 Rzeka w Afryce 2 Półwysep w środkowej Ameryce 3 Kraj w Europie 4 Admirał rosyjski 5 Poeta polski 6 Bogini grecka 7 Nauka wojenna 8. Miasto we Włoszech 9 Zawód. 10 Jeden z pagórków w Rzymie. 11. Patryarcha żydowski 12 Sygnał 13 Reformator szwajcarski. 14. Wybór. 15 Wodospad w Ameryce 16 Miasto w Królestwie Polskiem. 17 Przyrząd do rozmawiania na odległość 18 Twierdza azyatycka 19 Godność kościelna. 20. Utwór prozaiczny.

**Zadanie do przestawienia.**

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A! Hołota ma tu gdzieś świcę, a tam sowa topi ziębę z krzewu.

**Kwadrat magiczny.**

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły pięć wyrazów, równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a c e e e
e e e l m
n n n r r
r s s w w

*Znaczenie wyrazów:* 1. Dopływ Bugu 2 Miejsce popisów. 3 Inaczej odstąpienie. 4. Zabieg leczniczy. 5. Inaczej lennik.

**Zadanie do przestawienia.**

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! Gąski jadły w środę na łące winogrona z ziemi. Oto dąb! E! E!

**Bilety wizytowe.**

Ułożył K Kowalski, Wiedeń.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

JOB ZARPASKI

K ZARPELSKI

T TURNORSKI

LEON RZENDRATACKY

EUNAB KARSKY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

# Rozwiązanie zagadek z Nr. 21.

**Szarada:** Kasandra

**Trójkąt magiczny:**

M a c i e j o w s k i
A n t y s e m i t a
C h ł o p i c k i
I n f l a n t y
E m a n u e l
J o n a s z
O l i w a
W o d a
S u m
K u
I

**Łamigłówka literacka:** Skarga.
Łuszczewska.
Odyniec.
Woronicz.
Asnyk
Czajkowski.
Krasiński.
Isakowicz

**Grzebieniówka:**

| | | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| F | r | a | n | c | i | s | z | e | k | J | ó | z | e | f |
| a | | n | | h | | z | | g | | e | | i | | i |
| l | | d | | r | | c | | z | | d | | m | | l |
| e | | r | | y | | z | | e | | w | | o | | l |
| n | | o | | z | | y | | k | | a | | r | | ż |
| d | | m | | o | | g | | u | | b | | o | | a |
| y | | e | | l | | i | | t | | u | | d | | n |
| s | | d | | i | | e | | o | | i | | e | | k |
| z | | a | | t | | ł | | r | | k | | k | | a |

**Przysłowiówka:** Kto przez kogo zgrzeszy, temu się od niego nie spieszy.

**Zadanie do przestawienia:** Nie śmiej się dziadku z cudzego upadku.

**Bilety wizytowe:** Uścieczko Dubno. Ołyka. Donaumont. Tarnopol.

**Grzebieniówka:**

| | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| J | a | n | L | e | m | a | ń | s | k | i |
| ę | | o | | s | | n | | z | | m |
| c | | ż | | c | | t | | p | | i |
| z | | y | | h | | y | | a | | e |
| m | | c | | i | | l | | r | | s |
| i | | z | | n | | o | | a | | ł |
| e | | k | | e | | p | | g | | ó |
| ń | | i | | s | | a | | i | | w |

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp:* J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Podgórze, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S. Grodzicki Praga, K. Kowalski Wiedeń, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, R. Jędrzejowski Czerniowce, L. Kozłowski Tarnów, Z. Szymanek Nowy Sącz, E. Winter Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **B. Zbigniewicz, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

# Kącik humorystyczny.

### Z dziedziny procesów rozwodowych.

Przed sędzią staje pani Sara Gelbloch, która gwałtem chciałaby wziąć rozwód z swoim mężem, Aronem. Rabin zgodził się już na przeprowadzenie tej operacyi, ale ponieważ ślub był cywilny, więc i pan sędzia musi wydać na tym punkcie swoje *parere*.

Naturalnie sędzia pyta się panią Sarę, jakie powody skłaniają ją do porzucenia męża.

— Niech pani się nie wstydzi, pani Gelbloch — mówi jej sędzia łagodnie — tylko niech pani wprost powie mi, co właściwie skłania panią do żądania rozwodu?!...

— Ny, panie sędzio! — odpowiada pani Sara — Co ja sze mam wstidżycz? Niech wun sze wstydżi, ten paskidnik? Ja z niego nie moge życz, bo wun jest strasznie brudny!...

— Brudny?... — odzywa się sędzia — Ale w jakiem znaczeniu? Niech no pani Gelbloch mi to jaśniej wytłumaczy!...

— Ny! Co ja mam tłumaczycz! — oburza się pani Gelbloch — Ja panu sędżemu po prostu powim, jak ja mogie życz z taki gałgan, co wun ma takie brudne ręki, jak moi nogi?!...

———

### U lekarza.

— Panie Pomeranz — mówi lekarz do swojego pacyenta — to jest bardzo poważna choroba! Pan musisz koniecznie wyjechać do kąpiel!...

— Ny! Panie konsyliarze — odpowiada Pomeranz, drapiąc się w pejsy — wyjechacz do kąpielów, to ja mogę, tilko niech mnie pan tam nie każe sobi kąpacz!...

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

**Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego**

Kraków, Plac Szczepański L. 3 (dom własny) — Telefon Nr. 331.

**C. SZCZURKOWSKI**

**Kraków, Grodzka 2**

poleca:

**Zabawki, Gry towarzyskie, Lalki itp.**

**Miód**

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.

**KINO-WANDA**

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

**Co trzeci dzień nowy program.**

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

**Wojenny zegarek i budzik K 6.** **Branzoletka z zegarkiem K 12.**




Wojenny zegarek z podwójnym relifem J. Ces. M. cesarza Franciszka Józefa I. i Wilhelma II. albo z poczwornym relifem „Viribus unitis 1914—1916" w stalowej lub niklowej schowce z dobrym werkiem Anker K 6·—, I. jakości kor. 8·—. Radiowy K 10·—. Prawdziwy srebrny K 15. Budzik kieszonkowy K 20·—. Radiowy K 28·—, odpowiednia skórzana opaska na rękę K 2·— osobno. Branzoletka z zegarkiem z skórzanymi rzemykami duży format K 6.—, radiowy K 10·—, branzoletka z zegarkiem mały format według rysnnku K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—. radiowy K 10·— więcej. Szkło ochronne według rysunku K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 6·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie, opłacone do całych Austro-Węgier i w pole przez **1-szy skład zegarków wojennych**

**Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.**

Oryginalny cennik fabryczny darmo.

**7**

**(Zranione członki)** są na bole i przeziębienie szczególnie wrażliwe Jest koniecznem już dla samego uspokojenia zawsze mieć w domu zaufania godny ból uśmierzający środek. To jest bardzo łatwo możliwem, gdyż wszędzie można otrzymać Fellera od dawna wypróbowany, ból kojący fluid z esencyi roślin z marką „Elza". 12 flaszek franko już za 6 koron. Dobry ten środek domowy oddaje znakomite usługi w licznych wypadkach różnorakich bólów i przy pielęgnacyi ciała. Liczni lekarze wypróbowali i publicznie stwierdzili dobroczynne jego działanie. Również można wykazać przeszło 100000 pism dziękczynnych. Jedynie prawdziwy „Elza-fluid" można zamówić u aptekarza E. V. FELLERA, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). Kto cierpi na niedomogi w trawieniu może zamówić równocześnie Fellera ułatwiające trawienie, łagodnie przeczyszczające pigułki rumbarbarowe z marką „Elza". 6 pudełek kosztuje franko tylko 4 kor. 40 hal., 12 pudełek franko 8 kor. 40 hal. Znakomitej sławy zażywają także inne preparaty „Elza" i chcielibyśmy tu wskazać na znakomity środek przeciw nagniotkom: Fellera plaster turystyczny z marką „Elza" w kartonie za 1 i 2 korony. Chwali się również Fellera sztyft mentolowy z marką „Elza" przeciw migrenie 1 karton 1 korona.



**500 koron**

płacę każdemu, jeżeli

**— nagniotki —**

**brodawki, skórę zrogowaciałą** nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·50. 3 słoiki K 4·—, 6 słoików K. 5·50. Tysiączne listy z uznaniem i wdzięcznością.

**Kemeny, Koszyce** (Kassa), I. fach pocztowy 12—285, Węgry.

**Zamiast K 20 — tylko K 12**



wspaniały płaski męski zegarek **Remontoir Anker srebro Gloria** z trzema mocnemi wspaniale grawirowanemi płaszczami i odskakującą pokrywą na kamieniu dokładnie idący. 3 letnia piśmienna gwarancya. Za pobraniem (na pocztę polową pieniądze naprzód) Fabryczny skład zegarków **Jak. König, Wiedeń III 89 Löwengasse 37 a.**

**Klisze cynkowe i fotografie**

z każdego numeru odsprzedaje

**Administracya Nowości Illustrowanych**

— WYROBY KRAJOWE —

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

**WIELKI WYBÓR PERFUM.**

| | | |
|---|---|---|
| Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty. | Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane Wielki wybór **torebek** damskich. | Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane. |

**Potrzebny zaraz trawiacz do Nowości Illustrowanych.**

**Drukarnia D. E. Friedleina**

**w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479**

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

**Rowery Ryval**



są przecież najlepsze!

**K 145** kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami. Pompa polaniała, płaszcze na wszystkie ceny. Pedały za parę K 3·—. Łańcuchy K 3·50. Latarnia K 1·95. Rączki 30 hal. Ochraniacz od błota K 2·25. Lampy kieszonkowe i baterye, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr 140 darmo i opłacony. Specyalne ceny dla kupców.

**Specyalny Dom przemysłu rowerowego**

**G. Wondrak**

**Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.**

**Kupuję i sprzedaję**

**złoto, srebro, brylanty**

płacąc najwyższą cenę. Zakład zegarmistrzowski i jubilerski

**Józef Cyankiewicz, Kraków, Sławkowska 24, dom XX. Emerytów**

**Krem twarzowy jako puder.**



Na bok z waszym pudrem, który tylko pory zatyka i z czasem tworzy bruzdy na twarzy. Używajcie **Dr. A. Rixa perłowego pudru-kremu** białego, różowego, kremowego. Puder-krem jest prawnie chroniony, zupełnie nieszkodliwy, żadna szminka. Natychmiast po użyciu otrzymują panie matową delikatną cerę, dla pielęgnowania skóry i piękności niezrównany, dobry i oszczędny w użyciu. Próbna doza K 1·65, duża doza wystarczająca na 4 miesiące K 3·30. Wysyłka ściśle dyskretna.

**Kosmetyczne labor. Dr. A. Rixa Wiedeń IX, Lakiergasse 6/F.**

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska Rynek 37. **We Lwowie:** Perfumerya Składowskiego, apteka pod srebrnym Orłem ul. Krakowska 1. **W Białej:** Droguerya Polaczka ul. Kolejowa. **W Cieszynie:** Schw. Hunddrog i Anckerdrog.

Założony w roku 1900! **Po drodze do Zakopanego** Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie**

wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

**W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW**

**W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.**

**Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze.**

Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

Jedyny w Stanisławowie który posiada własny wyrób trumien

**Zakład pogrzebowy „Concordia" FELIKSA ANTONIEGO MAYERA**

Stanisławów, ulica Sapieżyńska L. 65 (dom własny). — Telefon Nr. 79.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego